

118

118

1000072756





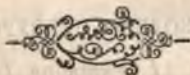
145183
2819647

26 r. 18.


KŁOPOTY BABUNI.

PRZEZ

Bolesława Prusa.



WARSZAWA.

Nakładem i Drukiem Aleksandra Pajewskiego, 
ulica Niecała Nr. 12 nowy.

—
1874.



884-3

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава 11 Сентября 1874 года.



KŁOPOTY BABUNI

ROZDZIAŁ I.

W którym czytelnik nie mogąc zaznajomić się z Pawełkiem, trafia na wątek interesujących przygód babuni.

Czy biorąc rzeczy ze stanowiska filozoficznego, mogę powiedzieć, że Pawełek służy u mnie?

Ależ tak jest, służy!.. i to od lat trzech i siedmiu miesięcy. Upewnia mnie o tem naprzód księga wypłat, z której pokazuje się, że osoba tego nazwiska, czternasty raz już z kolei pobrała kwartalną pensją w ilości rs. 3 kop. 25; dowodzi tego, powtóre, księga podarunków, gdzie wyraźnie zapisano, że taki to a taki Pawełek w uznaniu zasług, różnemi czasy otrzymał odemnie: 4 pary spodni, 1 żaket, 1 watowany surdut, 1 burkę i 2 czapki; przekonywa mnie o tem wreszcie księga szkód i upomnień, z której widać, że Pawełek w ciągu swej wiernej, trzeźwej i punktualnej służby stłukł 23 talerze, 58 szklanek, 4 wazy i 6 półmisków, że zgubił 7 nożów, 2 łyżki i 4 widelce, okuliawił konia, rozwalił piec w kuchni, i, że za wykroczenia przeciw moralności publicznej, otrzymał dwa razy po 30 plag, w prywatnym lokalu reprezentanta miejscowej władzy gminnej.

Pobyć więc Pawełka w domu moim jest dla mnie faktem tak pewnym, jak zwycięstwa Aleksandra Macedońskiego w Azji i Afryce, jak istnienie wapna w kościach, a wodoru na słońcu. Ze smutkiem jednak wyznać muszę, że wszystko zresztą jest dla mnie zagadkowem, cokolwiekbądź oprócz kwestji pobytu, odnosi się do tego niezwyčajnego chłopca.

Bo proszę mi np. zdefiniować naturę i rodzaj jego zajęć? Ja o nich nie wiem, moja klucznica także nie wie, a mój rządca, pisarz, kucharz i furman również nie wiedzą... Ponieważ widujemy się nader rzadko, nic więc nie mógłbym wyrzec ani o kolorze jego włosów i oczu, ani o wielkości i kształcie ust, brody i nosa, bez których to przecież cech, nawet marzyć nie podobna o korzystaniu z dobrodziejstwa komunikacji lądowych i wodnych. Gdyby jakiemu zartownisiowi przyszła ochota powiedzieć, że Pawełek ma jedno ucho mniej, lub jeden palec więcej, niż średnia statystyczna jednostka rodu ludzkiego, nie śmiałybym temu zaprzeczyć, — jak również nie odważyłbym się twierdzić, że młodzieniec ten, z całej skarbnicy języka, posiada coś więcej nad frazesy: „Zaraz lecę!..“ „W ten momencik...“ „Nie mam czasu“ i kilku innych.

Nie sędzę, aby dobry chrześcijanin nie miał prawa, bez obrazy boskiej, golić się własnoręcznie w dzień święteczny; nie rozumiem także powodu, dla którego by majętny obywatel ziemski obowiązany był sam brzytwy wecować i rozrabiać mydło. Opierając się na powyżej zacytowanych prawdach, nie przypuszczam

aby dopatrzono coś skandalicznego w tem, że 5 sierpnia w dzień N. M. P. Śnieżnej postanowiłem uregulować swój zarost i że po raz trzeci, dobrze już zirytowany wołałem :

— Ty nicponiu jakiś! czy nie słyszysz, że mi potrzeba rozrobić mydło?..

— W ten momencik, proszę pana!.. ino tylko... ktoś do dworu zajężdża...

— A więc chodź mi tu natychmiast hultaju, bo przecież nie wyjdę do gości z niegoloną brodą!..

Tym razem, zamiast odpowiedzi, usłyszałem turkot zajężdżającej bryczki na podwórzu, a chrzęst otwierających się drzwi na ganku. Pozwolę sobie głowę uciąć temu, kto mi w sposób niezbity dowiedzie, że pokojowca mego mniej interesował bat furmana, lub ogony zajężdżających koni, niż pędzel, brzytwy, mydelniczka, słowem, kompletny mój przyrząd balwierski, a nawet moja broda i cała wreszcie osoba...

Za chwilę z podwórza doleciał mnie skrzeczący i niezupełnie obcy głos kobiety:

— Jak się masz serce, a jak ci tam?..

— Pawełek!.. proszę łaski pani.

— Serce Pawełku, a nie ma tu u nas we dworze jakiej choroby: księgosuszu, nosacizny, sonej krosty, albo, czego Boże nie dopuść, cholery i tyfusu na ludzi?..

— Iii... jakoś nie słyhać, proszę łaski pani, tylko klucznica nie domagała trochę, ale już jej lepiej.

— Pewnie cholera?.. ach ja nieszczęśliwa!..

— E... nie! proszę łaski pani, to chłopak i właśnie go pisarz z ekonomową do kościoła powieźli, do chrztu...

— Będzie wojna, kiedy chłopak... A pan w domu?...

— W domu, proszę łaski pani!.. Za kumami nie pojechał, bo późno wstał!..

Uczułem, że mi się palce kurczą w sposób tak szczególny, jakbym już ujmował niemi za szczeciniastą czuprynę Pawełka. Na podwórzu tymczasem rozmawiano dalej.

— Serce Pawełku, a wynieś nieboże jaki pieniek do bryczki, bo nie wysiądę...

— Pieniek?.. pieniek?.. zapytał mój pokojowiec, takim tonem, jak gdyby chodziło o ów historyczny pień, na którym jeden ze Stuartów stracił możność noszenia korony angielskiej.

— Pieniek durniu! albo stołek, dla wysiądzenia z tarantasa!.. odezwał się głos drugi, który naprowadził mnie na myśl, że dama podróżuje w towarzystwie osoby niedostatecznie obeznaney z gramatycznymi formami naszego języka.

— Stołek albo ławeczkę podaj ośla głowo! bo inaczej majorowa nie wysiądzie, — uzupełnił głos trzeci, baryton.

— Majorowa?.. majorowa?.. myślę sobie; tymczasem podbudzony tak nieparlamentarnemi przydomkami Pawełek odpowiedział:

— Aha!.. już rozumiem. Zaraz ja tu państwu usłużę!..

Z temi słowy pobiegł ciężkim kłusem do kuchni, zostawiając podróźnych z najpiękniejszymi widokami na przyszłość; ja zaś, nie tyle przez ciekawość, ile z zasady, że najlepiej niebezpieczeństwu odrazu spojrzeć w oczy, przeszedłem z sypialnego do jadalnego pokoju, aby ztamtąd, przez zasłonięte doniczkami okno, bliżej poznać niespodziewanych gości.

Na wasągu, zaprzężonym parą chudych i głęboko zamyślonych jednokopytnych zwierząt, siedziały cztery osoby. Honorowe miejsce, odznaczające się poduszką nie mniejszą od średniej pierzyny, zajmowała stara i niska, ale gruba jejmość, przyodziana w salopkę z czasów kampanji węgierskiej i rękawiczki, w których mniej pobłażliwy obserwator mógłby dostrzedz podobieństwo do bawełnianych skarpetek. Słodkie i poważne oblicze damy, które obok uczuć szacunku, budziło zarazem niewyraźne wspomnienie owych, co chwila rozłażających się kształtów, jakie przybiera ciasto mieszane w nieckach,—oblicze to, ściągnięte było dwoma białymi chustkami, z których jedna zdawała się przymocowywać dolną szczękę do górnej, druga zaś zabezpieczać czoło od wewnętrznego nadmiernego parcia sił intelektualnych.

Obok otyłej staruszki siedział młodzian o chudej i bladej twarzy, ozdobionej wąsikami, w których nie mam bynajmniej zamiaru upatrywać analogji z wyciorem do czyszczenia cybuchów, tudzież bródką, któ-

ra w żadnym razie nie mogła być porównywaną do kity krowiego ogona. Tylko bezmyślnej złośliwości wolno dopuszczać się tak nie smacznych zestawień, drwić z koloru ładnej hiszpańskiej ponszy bez rękawów, albo co gorsza, hałaśliwie donosić czytelnikom, że w tyrolskim kapeluszu młodzieńca, obok koguciego piórka tkwił popsuty termometr. Jestem najmocniej przekonany, że człowiek znajdujący wyłączną przyjemność w rozpatrywaniu tego rodzaju szczegółów, zasługiwałby tylko na wzgardę szlachetnego podróżnego, który skromne swe miejsce na wózku zajmował z powagą godną wynalazcy jakiejś ulepszonej maszyny do szycia, będącej zarazem żniwiarką, młockarnią i lokomotywą.

Obie te, z całego towarzystwa najpoważniejsze osoby, osłaniał może być, że trochę za obszerny czerwony parasol, którego o wiele cieńszą od dyszla rękojeść pielęgnowały pulchne dłonie szanownej matrony.

Drugie miejsce ekwipaży stanowił worek, tymczasowo pełniący obowiązki kozła, na którym siedział siedemnastoletni co najwyżej chłopczyk w czapce wychowańca średnich zakładów naukowych, tudzież furman widocznie zadający sobie wiele trudów, aby, przy pomocy konopnych lejc, utrzymać w równowadze szczupłe koniki, nazbyt, jak się zdaje, pamiętające o tem, że środki ciężkości ich tułowiów bezustannie dążą do zajęcia jak najniższego położenia na powierzchni globu ziemskiego.



Przeszedłem z sypialnego do jadalnego pokoju, aby przez zasłonięte doniczkami okno, bliżej poznać niespodzianych gości (st. 5).

Ze wszystkich zwierząt drapieżnych, za które kiedykolwiek bądź wnoszono do kas właściwych opłatę, w ilości i terminach przewidzianych przez prawo, nie znam łagodniejszych nad moje psy podwórzowe. Dla tego też nie mogłem wyjść z podziwu, widząc i słysząc, że psy te, jakby niezadowolone zwykłym, etatowem szczekaniem na podróznym, dopuszczały się jeszcze nadetatowego warczenia, bezczelnych giestów i impertynenckiego obwąchiwania bryczki stojącej przed gankiem. To pozbawione wszelkiego taktu zachowywanie się lokatorów i stróżów mojej nieruchomości, zaniepokoiło mnie tak dalece, że się aż wróciłem do sypialni celem wynalezienia stosownych szkieł, aby przy ich pomocy gruntowniej i szczegółowiej zbadać wewnątrz wasąga.

Tymczasem Pawełek, zawsze najchętniej zjawiający się tam, gdzie mnie nie ma, wrócił na podwórze z kuchni, obciążony olbrzymią ławą, która od lat kilkunastu przy objadach, kolacjach i innych wybitniejszych momentach wiejskiego życia, stanowiła podstawę dla działalności wszystkich dziewczek i parobków mego folwarku. Z kilku uderzeń w koła wasąga wniosłem, że wysoce użyteczny sprzęt kuchenny zajął już nowe stanowisko i że za chwilę będę miał sposobność urzeczywistnić większą połowę uczynków miłosiernych, mających na celu zabezpieczenie doczesnej egzystencji osób na których są wykonywane.

— Tu serce, tu bliżej przysuń ławkę rybeńko! zaczęła znowu dama. Kuba ptaszeńku! trzymaj dobrze

konie, żeby się nie spłoszyły niebożęta. Sociu, jedyna pociecho moja, weź Mruczka, bo tu, widzę, psy są, żeby go choć nie roztargały mizeraka!.. Panie Postępowiczu gołąbku, podaj rękę starej grzesznicy, bo jak padnę, to nawet kosteczek moich nie będziecie się mogli doliczyć!..

— Niech mi pani z łaski swojej poda nogę, odezwał się Pawełek, to ją uplacuję...

— Niech cię Bóg błogosławi kochane dziecko, za twoją przychylność dla biednej osoby w podeszłym wieku!..

Zbliżyłem się znowu do okna i dostrzegłem, że na wasągu zaszły radykalne zmiany. Parasol zwinięto. Zamiast miłego oblicza staruszki, dominowała w tej chwili nad wasągiem tylna część jej salopki, tudzież żółta w pomarańczowe kwiaty spódnica, z pośród fałdów której sterczała noga jakiejby się nawet kilkoletni hipopotam nie zawstydził. Nogę tę, Pawełek z nie małym trudem starał się sprowadzić do poziomu ławki, podczas gdy górne zakończenie otyłej damy, utrzymywał w swoich objęciach zsiniały skutkiem wyężenia, właściciel ponszy bez rękawów i kapelusza z termometrem. Tymczasem na łonie gimnazjisty siedział tłusty i najeżony bury kot, którego widok zdawał się niezmiernie intrygować psy otaczające wasąg.

— Aj! aj! aj!.. Pawełku... żebym się tylko nie obwaliała, krzyknęła wysiadająca jejmość.

— Niech się pani nie boi, odrzekł mój pokojowiec. Już jak ja pani nogę przypasuję do ławki, to niczem mur!..

— Aj.. łapaj serce drugą nogę, bo mi się zaczyna w głowie kręcić,—jęknęła znowu dama. Pawełek drugą nogę schwycił i już staruszka miała nią najspokojniej dotknąć ławki, kiedy nagle grubjański koncept gimnazjisty pokrzyżował jej ze wszech miar logiczne i godziwe projekta i o mało nie stał się powodem najszkaradniejszego wypadku.

Lekkomyślny ten młodzieniec widocznie zbyt mało żywił współczucia dla trudnej pozycji damy, a natomiast z zadziwiającą gorliwością zajmował się bawieniem psów za pomocą trzymanego w rękach kota. Co chwila pochylał go za wasąg i dotykał ogonem ziejących i kłapiących pysków jego nieprzyjaciół; aż w końcu drobny lecz złośliwy zwierz, do najwyższego stopnia zaniepokojony o swoją przyszłość, wydarł się z nieszczerych uścisków niedobrego chłopca, i, parskając i mrużąc, wskoczył na pochyloną i szczęściem troskliwie obandażowaną głowę czcigodnej kobiety.

W tej oplakanej sytuacji zamieszanie przy wózku dosięgło najwyższego stopnia: rozjuszona zwierzęta wrzeszczały każde podług właściwej metody; młodzi mężczyźni otaczający damę śmieli się z godną uwagi zaciekłością,—główna zaś bohaterka chwili wołała w niebogłosy:

— Jezus Marja!.. Ratuj kto w Boga wierzy!.. A psik!.. a kac!.. Słowo stało się ciałem...

Nie mogłem dłużej być spokojnym widzem rozputy nicponiów i dla tego, choć zaledwie do połowy ubrany, szybko wybiegłem na ganek.



— Niech się pani nie boi, już jak ja pani nogę przypasuję do ławki, to niczem mur! (str. 9).

Na mój widok psy ucichły i zaczęły się łaścić; młokosy otaczający damę w jednej chwili zaprzestali manifestować swą nieprzyzwoitą wesołość; elegant z bródką pojmał kota. Pawełek zaś jednym zamachem postawiwszy staruszkę na ziemi, a następnie schwyciwszy ciężką ławę, ulotnił się z nią jak kamfora, mając widocznie dużo słuszych powodów do unikania mego towarzystwa.

Przez chwilę ja i szanowna podróżna milczeliśmy, jak przystało na osoby, które doznały gwałtownego wzruszenia; wreszcie ona ulegając zapewne wymaganiom etykiety, skazującej na pierwszeństwo piękną połowę rodu ludzkiego, — zaczęła:

— Ach nieszczęście moje, co za fenomenalny wypadek z tym kotem pułkowniku!.. Myślałam, że zginę, jak pragnę zbawienia duszy mojej!.. Sociu serce, a pilnuj tam parasola i Mruczka... I cóż pułkowniku nie poznajesz mnie? Toż to ja, Pudencjanna Moździerznicka, wdowa po Grzegorzcu, panie świeć jego grzesznej duszy, Grzegorzcu Moździerznickim, twoim kamracie i podkomendnym majorze 5-go pułku piechoty...

— Aaa... kochana majorowa!.. zawołałam, chwytając w objęcia od kilkunastu lat niewidzianą przyjaciółkę, — która w odpowiedzi wybuchnęła tak głośnym płaczem, że aż półsenne a nagle zbudzone jej koniki wykonały szereg ruchów mających na celu, o ile się zdaje, sprawdzić możność dowolnego poruszania rozmaitemi częściami ich organizmu.

— Aj cicho!.. Kuba rybeńko uważaj żeby się czego złego nie stało. Patrzaj pułkowniku jak ten czas leci! też to już chyba z piętnaście lat nie widzieliśmy się ze sobą? A pamiętasz serce, jak za mną, kiedym była młoda cały pułk szalał, — albo jak przez ciebie doktor Puszczadło swoją żonę zbił na kwaśne jabłko i z domu wypędził?..

— Kochana majorowo, może wejdziemy do pokoju?..

— Nie szkodził spoczniemy trochę i w ganku, pokąd rzeczy nie zniosą... Ach jakie gorąco, czysty ukrop!.. Sociu ptaszeńku, ciągnęła wracając się do gimnazjisty, a ucałujże kolana naszemu dobrodziejowi i zwierzchnikowi twego nieboszczyka dziadka... Pułkowniku serce, patrzajże, też to mój wnuk po Ksawciu, sieroténka bez ojca i matki, chodził do klas.. Ukłoń się Sociu!.. no i cóż tak patrzysz jak złoczyńca?.. Ludzi nie znasz, czy co?..

Nastąpiła wymiana ukłonów, poczem chwilkę odechnąwszy, spotniała i zasapana staruszka, mówiła dalej:

— Kubo! Pawełku!.. a znieście robaczki nasze graty. Sociu serce, dopilnuj żeby kto nie ukradł parasola, poduszki i koszałki. Pamiętam, kiedym w roku 1843 jechała do Częstochowy własnymi końmi, to nas w drodze do ostatniej niteczki okradli, — żeby ich Bog pokarał!.. Ale, ale!.. bodajże cię, — a toż ja tobie pułkowniku zapomniałam zaprezentować pana Postępowicza... Już teraz nie mam nic, ani pamięci,



ani apetytu i na nogi nie zdążam... Oto pan Hijacynt Postępowicz, człowiek bardzo uczony, z uniwersytetu... a także do pism pisuje!.. Teraz przez całe wakacje Socia uczył...

— Cezar, Brutus, Napoleon, Hijacynt Postępowicz, — rekomendował się młodzieniec w ponszy, — literat chwilowo bawiący w domu szanownej majorowej jako nauczyciel jej wnuka. Przytem, czuję się w obowiązku nadmienić, że literackie prace moje okrywa najgłębsza tajemnica i że tylko bardzo zaufanym osobom okazuje artykuły, które...

— Ja to widział, — przerywa literatowi Sotus.

— I ja też! dodaje majorowa z lekkim odcieniem dumy.

— Z tem wszystkim jednak, mówił pedagog, miło mi będzie niektóre z moich utworów przedstawić szanownemu pułkownikowi...

— Ale, ale... a co dacie nam na śniadanie? przerwała majorowa, widocznie nie dość przestrzegająca form towarzyskich.

— Pawełek!.. krzyknąłem z całej siły, pragnąc zwrócić na inny przedmiot uwagę rozochoconego literata, — który nie zrażony tem jednak prawil dalej:

— Na szczęście mam w tej chwili kilka moich prac, i, jeżeli państwo pozwolicie, będę mógł je odczytać... Mówiąc to wydobywał z kieszeni i rozwijał jakieś zmięte i zabrudzone druki.

— Co państwo rozkażą?.. przerwał mu tym razem Pawełek, zawsze obecny wtedy, gdy chodziło o spr-

wy... kochana majorowa



— Aaa!.. kochana majorowa (str. 12).

wy mające jakikolwiek związek ze szpizarnią lub kuchnią.

— Ja chciałabym napić się kawy, rzekła majorowa, jeżeli jest dobra śmietanka i bułeczki. A ty Sociu, co jeść będziesz?

— Ja?. kluski z mlekiem!..

— To i ja kluski! pochwyciła majorowa, doskonale nadadzą się przed kawą...

— Są tu rozprawy o wychowaniu dzieci, o użytkach astronomji, o emancypacji kobiet, o zarazie na kartofle... ciągnął dalej literat, jakby niedomyślając się nawet, że w tej chwili na gruntowne jego prace nikt najmniejszej uwagi nie zwraca.

— A pan, panie Postępowiczu, co sobie życzysz? pyta majorowa zacierzewionego publicystę.

— Ja?.. odparł jakby zbudzony ze snu, ja... mogę zjeść naprzykład parę jaj na miękko i porcję befsztyku, rozumie się, przy herbacie... W czasie śniadania będę mógł państwu...

— Ach, przerwała znów dama, jaki ma gust dobry pan Hijacynt!.. Ja sama z chęcią zjadłabym jaj i mięsa... Więc uważaj-że Pawełku, ma być: kawa, herbata, kluski, jaja i befsztyk... A ty pułkowniku serce, co zjesz?..

— Cokolwiek — kochana przyjaciółko, odpowiadam, myśląc, że do podobnego śniadania jeden kucharz nie wystarczy.

Pawełek dyspozycji wysłuchał i powtórzywszy ją bez omyłki, jak gdyby był szpajscetlem na którym



Cezar, Brutus, Napoleon, Hijacynt Postępowicz (str. 14).

podkreślono nazwiska potraw, wykręcił się na pięcie i poleciał jak bomba do kuchni. Ponieważ zaś tłomoki, poduszka, koszałka, parasol i Mruczek znalazły się już na odpowiednich miejscach, nie ociągając się przeto dłużej weszliśmy do domu, w porządku wymaganym przez prawa gościnności, z uwzględnieniem wieku i stanowiska osób obecnych.

ROZDZIAŁ II.

Obejmujący dzieje młodości Soterka i dalszy ciąg kłopotów babuni.

Cały prawie czas przedobiedni zeszedł mi na podziwianiu niezrównanej wymowy i ruchliwości szanownej mojej przyjaciółki. Dobra ta kobieta, mimo 80 lat, zdolną była w jednym i tym samym czasie głaskać Mruczka, szturgać Socia i unosić się nad niepospolitym rozumem jego nauczyciela, który ze swej strony w każdej chwili był gotów odczytywać nam swoje interesujące prace literackie. Dodajmy, że wszystkie te zajęcia nie przeszkadzały jej dysponować obiadem, zaglądać do kuchni i spiżarni, rozpakowywać tłomoki i troszczyć się o całość i bezpieczeństwo domu wraz z zabudowaniami, nad którymi, według jej nieomylnych przeczuć, wisały pożary, trąby powietrzne, oberwania się chmur, epidemje, napady złoczyńców i inne tym podobne kłeski, każdomiesięcznie figurują-

ce w dziale wiadomości miejscowych, we wszystkich pismach perjodycznych.

Jakkolwiek nigdy nie miałem wstrętu do kobiet, szczególnież też między 16 a 40-m rokiem ich życia, nie mogę jednak powiedzieć aby mię zachwyił niewzruszony zamiar majorowej, opowiedzenia mi po obiedzie ciekawych przygód jej wnuka, a jednocześnie zasiągnięcia mojej uczciwej i wytrawnej rady co do jego przyszłości. Tkliwy ten dowód zaufania, ze strony mojej szanownej przyjaciółki, tak dalece mnie wzruszył, że stracił nawet ochotę do obiadu, na którym, wedle rozporządzeń nowej naszej gospodyni, figurował barszcz z ogonem, baranina z czosnkiem i pierogi z serem i ze śmietaną, doznające szczególnych względów młodego Moździerznickiego i jego czcigodnej babki.

Kiedym już po obiedzie i czarnej kawie usiadł na kanapie, obok wdowy po majorze 5-go pułku piechoty, celem spełnienia łaskawie ofiarowanego mi kielicha familijnych zwierzeń, przyjaciółka moja przytknęła oczy, zwiesiła dolną wargę i puściła w szybki ruch obrotowy wielkie palce rąk skrzyżowanych na brzuchu, którego wymiary i postać, nie wiem z jakiej racji, przywiodły mi na myśl trudności i niebezpieczeństwa żeglugi wynalezionej przez braci Montgolfierów w końcu zeszłego stulecia. Szanując głęboką zadumę czcigodnej matrony, patrzyłem bezmyślnie przez okno na dziedziniec, gdzie przed starym gołębnikiem napuszony indyk kokietował dwie kwękające

towarzyszki, a mój faworytalny wyżeł Trezor obracał się w kółko, usiłując w niewiadomym mi celu schwycić zębami środkową część swego łaciastego ogona.

— Powiadam ci serce pułkownika, zaczęła majorowa, że ten Sotus taki z wierzchu niby głupowaty i do niczego, był zawsze w gruncie fenomenalnym dzieckiem. Dwanaścioro ich miała z nieboszczykiem Grzesiem, rybeńko, a żadnego takiego jak on!.. Bo patrzaj: naprzód urodził się w poniedziałek!.. Wszyscy myśleli i jabym była przysięgła, że będzie miał sześciu braci; i co ty powiesz?.. Taż on został sam jak palec i jeszcze miedługo matkę stracił... Ach ja nieszczęśliwa!.. Przyjęłam mu mamkę, powiadam ci, babę jak Herod, znasz ją przecie, tą Weronikę, córkę Szczypajły kaprała z 1-ej kompanji i Praksey markietanki?.. No, widzisz: kobieta jak łania, nieprawdaż?..

— Phy... jak kafar!.. odpowiedziałem.

— Karmiłam ją, Boże mnie skarz, lepiej jak rozoną córkę: mięsem, mlekiem, winem, kawą, ryżem, czem chcesz,—ale jak on ci się wziął do niej, jak zaczął ssać, jak zaczął ssać... czysta pijawka!.. W pół roku tak babę zasuszył, żebyś nią mógł być w piecu podpalić, a sam?.. Ach, sam moja rybeńka, nie urósł nawet tyleńki,—jak warząchew!..

Westchnęliśmy oboje: staruszka myśląc zapewne o dawniejszych wymiarach Sotusia, ja zaś, przypomniawszy sobie to, że, z nieznaných mi powodów,

na ostatnim jarmarku, sprzedawano drewniane łyżki po półtora grosza drożej niż zwykle.

— A już nie ma co gadać, że chłopak miał wojskową żyłkę, oj miał! Zawsze z kijem albo z batem, a bił, a psuł, a darł... ach doloż ty moja!.. Za fuzją w piekłoby poszedł i ciągle gadał: jak ja urosnę, to wszystkim żydom i babuni w łeb wypalę!.. Jak cię kocham pułkowniku, tak prawda...

— Hum!.. hum!.. odmrukiwałem patrzącej mi w oczy majorowej, nie wiedząc co w tym wypadku odpowiedzieć należy.

— Ale do książki, ciągnęła dalej, ehe!.. i kijem byś go nie napędził. Bywało, wołam, proszę, biję, zaklinam... nic i nic... Ha! myślę sobie, wola Twoja Panie, widocznie to już czystej krwi Moździerznicki,— bo tak ojciec, jak dziadek, jak i pradziadek nigdy się tam bardzo do bibuły nie rwali... Ale kiedy mi chłopak podrośł, i już żadnej radeńki dać z nim sobie nie mogłam, przyjęłam mu dyrektora.

W tem miejscu otarłem pot z czoła, a staruszka odetchnąwszy ciągnęła dalej.

— Poczciwy to był i wcale niegłupi człeczyna i on to, nie kto inny, wyuczył Socia tego co umie dzisiaj; — ale cóż, kiedy robaczek napijać się trochę lubił i bokiem mu też wyszła ta fantazja... Powiadam ci, raz przy Niedzieli wypiwszy sobie może nad miarę, wstydził się widać zajść na noc do domu i poszedł gdzie spać między chlewki. Trzeba trafu, że mieliśmy wtedy okrutnie złe świnie, węgierskie, — no

i co ty powiesz?.. taż te szelmy zjadły nieboraka, ale to tak zjadły, że zostało tylko trochę kości, trochę szmat i para niedogryzionych butów... Och!

W tej chwili dwaj reprezentanci oskarżonego gatunku zwierząt domowych, z podniesionymi uszami i ryjami, chrząkając i pokwikując, przedelflowali za oknem. Czy ta niewinna i legalna manifestacja oznaczała, że indywidua, o których mowa, umywają ręce od wszelkiej odpowiedzialności i ze wstrętem wypierają się haniebnego czynu swoich powinowatych, — czy też naodwrot, miała stanowić groźną przestrogę dla nauczyciela w obecnym czasie rozwijającego umysłowe zasoby Sotusia?.. na to nie umiałbym odpowiedzieć...

— Kiedy nastał, brzmiała dalej historja, nowy dyrektor, jakiś świszczypałka i straszny impetyk, wziął ci okrutnie robaka w dyby i tak go męczył, tak go dręczył, że mi dziecko zamizerował na nic. „Panie dobrodzieju! mówiłam z płaczem, zlituj się nad sierotą, bo mi się nie uchowa chłopak, jeżeli go dłużej będziesz tak katować książkami...“ A on mi na to: „Cha! cha! cha!.. niech się jejmość nie boi, uchowa się... uchowa, bo głupi jak stara podeszew!..“ Naturalnie, że po takim odezwaniu się, musiałam go oddalić.

— Niegodziwiec!.. zawołałem, nie mogąc, dla braku czasu, silniej scharakteryzować całej potęgi mego oburzenia na człowieka, który tak grubijańsko okre-

ślił intelektualną wartość najmłodszej gałązki szlacheckiego rodu Moździerznickich.

— Kiedy skończył 10 lat, oddałam go do pierwszej klasy. Co tam było płaczu, rozgardjaszu, kłopotów,.. to tylko mnie i Bogu wiadomo. No, ale w końcu jakoś go przyjęli...

Zauważyłem, że lewe oko majorowej chwilami przemyka się, dając mi niby do zrozumienia, że wkrótce, po całodziennych trudach, zatrzyma się nareszcie w biegu ów skomplikowany mechanizm, za pośrednictwem którego, czcigodna dama, część swoich udręczeń rodzinnych przelewała w moją istotę.

— W pierwszej klasie, z powodu młodego wieku, kazali mu siedzieć dwa lata; z drugiej po dwu latach chcieli go już wypędzić... Na jego i moje szczęście przyszły jakieś tam ulgi i chłopak posunął się do trzeciej klasy. Tu, znowu siedział dwa lata i w tym już roku coś im do łba strzeliło, żeby go koniecznie, ale to koniecznie nie przyjmować... Ach co ja biedna nie wycierpiałam!!!

Przy tych słowach majorowa osunęła się w głąb kanapy, co też i ja ze swej strony starałem się naśladować, pamiętając, że symetria jest najgłębszą zasadą wszechrzeczy.

— Powiadam ci serce, pobiegłam zaraz do inspektora, ale z tym ani się było dogadać: krzyczał tylko i rękami machał... Dopiero jakiś uczciwy profesor zaczął mi tłumaczyć, że Socia do szkół nie przyjmuje, bo on nic nie robił w klasie, tylko pod ławkami sy-

piął na lekcjach. „A bójże się ran boskich; królu mój! krzyknęłam z płaczem, jakże, to dziecko ma nie spać, kiedy on rośnie robaczek?..“ Ale profesor odpowiedział mi ni to, ni owo i... i...

Gorąco dopiekało nam straszliwie i z tego to zapewne powodu, od kilku chwil, czułem jakiś szum w uszach i nieznośne swędzenie oczu. W strudzonej wyobraźni mojej, pulchne kształty sąsiadki zlewały się z kanapą, tworząc jakąś potworną kombinację kobiety-sprzętu, w obec której bajeczny Centaur mógł się zwać mężczyzną o nader miłej powierzchowności...

Nie umiem powiedzieć, jak długo trwał stan błogiej kontemplacji, w którą pogrążyło mnie zajmujące opowiadanie majorowej; — nie potrafię też opisać natłoku straszliwych obrazów, jakie błyskawicą przemknęły mi przez głowę, w chwili, gdy z zamyślenia obudził mnie głuchy chrzęst jakby od walącego się budynku pochodzący, tudzież pełen bóleści okrzyk dobrej kobiety:

— Jezus!.. mój Socio!..

Machinalnie zwróciłem się do okna, przy którym, z załamaniem rękami stała już szanowna moja przyjaciółka. Oto com ujrzał:

Na dziedzińcu leżał przewrócony gołębnik, obok którego stał Socio z miną ucznia przysposabiającego się do bardzo drażliwej pedagogiczno-karnej operacji. Obok—Postępowicz, Pawełek, dziewczki, parobcy i kilka psów tworzyli malowniczą grupę, nad głowami której unosiło się szeleszczące stado gołębi. Wyjrza-



Na dziedzińcu leżał przewrócony gołębnik, obok którego stał Socio, z miną ucznia przysposabiającego się do bardzo drażliwej pedagogiczno-karnéj operacji (str. 24).

łem lepiej: jaja były potłuczone, a żółte piskłęta w najwyższym nieporządku rozsypane. I któż zgadnie boleść, jaka przeszywała serca tych mnożnych i łagodnych ptaków, patrzących z wysokości na zniszczony owoc tyłu zabiegów i wysilen?...

— Ach wisielcze jakiś, wołała tymczasem poważna dama na rozpustnego wnuka, chmyzie niegodny!.. I coś ty zrobił, żeby cały gołębnik obalić na siebie? Chodź mi tu zaraz niegodne dziecko, zakało rodu ludzkiego, najcięższa zgryzoto moja!.. Jak amen w pacierzu zabiłoby go na śmierć... ach ja nieszczęśliwa!..

Ze spuszczoną głową ruszył Sotus do stroskanej babki, z podębła patrząc na swego nauczyciela i Pawełka, którzy w przyzwoitym dystancie asystowali mu, nastroiwszy miny odpowiednio do ważności wypadku.

— Ja tobie dam!.. obiecywała majorowa wchodzącemu wnukowi, ja tobie dam!.. To ci zdrowie nie miłe, ty złoczyńco jakiś?.. to chcesz mi narobić jeszcze więcej kłopotów?.. Gadaj zaraz, jak to było?.. ty... ty... smoku obmierzył!..

— Ja bo chciałem wkarabkać się na słup, a on wziął i przewalił się,—objasniał Socio.

— Nieszczęście!.. A po co tobie na słup, ty szatanie jakiś?.. Panie Postępowiczu, zwróciła się z dalszym ciągiem do wchodzącego literata, jak mogłeś pozwolić, aby taki straszny dureń laź na słup?..

— Ba, pozwolić!.. jeszcze czego?.. Pan Postępo-

wicz sam kazał, coby ja lażł.. wtrącił nachmurzony wnuczek.

— Chy... co ja słyszę?.. Ot i trzymajże tu nauczyciela z uniwersytetu i literata!.. Ot i płac mu 30 rubli za wakacje. Kirje elejson, Chryste, czy kto widział coś podobnego!..

Tak nieprzyzwoicie zaatakowany pedagog wznosił głowę do góry, odgarnął ręką długie włosy, i, stojąc na środku pokoju, odpowiedział z godnością:

— Kiedym się zgodził, przez czas ferij letnich, zabawić w domu pani jako nauczyciel jej wnuka, zastrzegłem sobie, aby mi nikt w tej uciążliwej pracy nie przeszkadzał. Uczyniłem zaś tak, wiedząc z góry, że metoda wychowania, którą pani uznajesz i metoda wychowania moja, o której napisałem trzy artykuły, pochlebnie przez krytykę przyjęte,—są to dwa najzupełniej sprzeczne żywioły....

— Proszę pana, a co będzie z gołębnikiem?.. zawołał przez okno karbowy.

— Ustawcie go w tem samym miejscu!.. odparłem, drżąc z obawy, aby przez tę krótką chwilę, natchnienie nie odbiegło wielkiego mówcy.

Gniew majorowej widocznie topniał.

— Pani, ciągnął pedagog, uważasz za podstawę nauki martwą literę i pragniesz rozwinąć tylko rozum swojego wnuka,—ja chcę kształcić zmysły za pomocą żywej przyrody, a pamiętając, że duch człowieczy przedstawia się nam w trojakiej formie: jako rozum, jako uczucie i jako wola,—usiłuję w wychowańcu moim trzy te kierunki równomiernie rozwinąć....

— No, wszystko to jest prawda, — rzekła starszka, udając głębokie przeświadczenie, — ale po co pan kazał Sotusiowi włączyć na gołębnik?..

— Po to, szanowna pani, aby drogą stosownych ćwiczeń gimnastycznych wzmocnił swoje mięśnie, a przez pokonywanie trudności zaostrzył swoją odwagę, bez której.....

— Sociu, niegodziwczel!.. nagle krzyknęła rozgniewana babka, jak śmiesz w tej chwili muchy łapać, kiedy pan Postępowicz takie ładne rzeczy gada o tobie?..

— No to cóż z tego?.. ja mogę łapać i mogę słuchać!.. odparł bezczelny wyrostek, miażdżąc w ogromnych palcach biednego owada.

— Ładnie pan go wyuczył przez wakacje; panie Postępowiczul zawołała starszka.

— Zbyt wiele już pisałem o ważności początkowego wychowania, abym miał na podobny zarzut odpowiadać!.. rzekł wyniośle literat, i ukłoniwszy się z przygnębiającą powagą—wyszedł.

Westchnąłem myśląc jak cichym był mój domek wczoraj o tej porze....

— No, a co teraz będzie pułkowniku? zapytała starszka, chcąc widocznie na moje barki przenieść jakąś część literackich gromów.

— Dalibóg że nie wiem!..

— Widzisz, a ja wiem... Pojedziemy wszyscy czworo do miasta, jutro skoro świt; tam się coś nie coś uradzi...

— Jutro?.. a bójże się Boga majorowo, — też ja mam gospodarstwo...

— To głupstwo!.. Za parę dni wrócisz, zrobiwszy dobry uczynek dla sieroty i wdowy. Ty tam masz tylu znajomych, tobie chętniej poradzą.

— Babciu!.. mnie jeść chce się... wtrącił wnuczek.

— No to i cóż?.. Pójdź serce do kucharza i za-dysponuj sobie. U pułkownika, to jak we własnym domu rób sobie,—zakonkludowała babka.

Drobna ta okoliczność zachęciła mnie do wyjazdu; rzekłem więc:

— Pozwolisz majorowo, że cię na godzinkę po-żegnam,—chciałbym bowiem rozmówić się z rządcą o tej naszej podróży....

— A idź serce, idź.... Ja sobie tymczasem odpocznę, — byle tylko ten niegodziwiec znowu czego nie zmalował!

Wybiegłem na dziedziniec i z żywym zadowoleniem patrząc na rozległy widnokrąg, zapytywałem w duszy: czy godzi się, aby jeografowie, w swoich ja-łowych pracach, tak mało poświęcali wierszy opisowi, tak obszernego i ponętnego widoku?...

ROZDZIAŁ III.

Rzucający trochę światła na Soterka i jego nauczyciela.

Po krótkiej naradzie z rządcą, który dowiódł mi należycie, że dla wielkich operacji agronomicznych, obecność moja jest nietylko bezużyteczna, ale nawet wysoce szkodliwa; że wyjazd na dni parę wyrze jak

najlepszy wpływ na mój humor i zdrowie, i, że w końcu on, to jest rządca, chętnie weźmie pod swą troskliwą i bezinteresowną opiekę, cały mój ruchomy i nieruchomy majątek i dopilnuje go starannie, niż wszyscy właściciele ziemscy całego świata,—stanowczo zdecydowałem się towarzyszyć majorowej w wycieczce, mającej na celu wykształcić umysł i uszlachetnić serce ukochanego jej wnuczka.

Pragnąc obejrzeć moje konie, woły, krowy, tudzież inne zarówno martwe jak i ożywione czynniki wiejskiej produkcji, — która (według najświeższych odkryć prasy perjodycznej) stanowi fundament dla materialnej i duchowej pomyślności społeczeństw,—po kolei wstępowałem do obór, stodół i chlewków, notując w pamięci: ilość żyjących reprezentantów każdego gatunku domowych kręgowców, wymiary nagromadzonej mierzwy i inne tym podobne szczegóły, a to w tym celu, abym po powrocie łatwiej mógł ocenić doniosłość ulepszeń, jakie wprowadzić miał pełen zapału i gorliwości mój zastępca.

Wszedłszy do stajni, która w programie moich wizyt ostatnie zajmowała miejsce, usłyszałem urywek rozmowy, toczącej się między wnuczkiem poważnej damy a parobkiem Kubą, pełniącym obowiązki dozorczy i kierownika czworonożnych motorów jej ekwipaży.

— Cóż ty durniu, nie posłuchasz się, kiedy tobie mówię grzecznie? wołał zirytowany Sotus.

— Ja tam kraść nie będę! odparł stanowczo parobek.

— Ty odurzał, czy co? Cóż to takie kradzenie, kiedyby ty odsunął trochę owsa dworskim koniom, a dał jego naszym? Ja pojąć tego nie mogę!..

— Niech se tam panicz sam odsuwa, kiedy chce.. Ja kraść nie będę!..

— Czort ciebie zabierz, durniu!.. Ja zawsze gadał babuni, coby ciebie nie brała z pastucha na furmana,—ot co....

Będąc z natury nader wyrozumiałym na drobne dziwactwa ludzkie, opuściłem co rychlej terytorjum, na którym troskliwość o materjalną stronę koni, uosobiona w Sociu, tak energicznie ścierała się z poszanowaniem siódmego przykazania, reprezentowanym przez byłego pastucha Kubę. Ponieważ zaś nie czułem gwałtownej potrzeby wracać natychmiast do domu, skierowałem się więc ku łąkom, już to dla obejrzenia stogów, już to dla tego, aby obecnością swoją nie obudzać rzewnych, rodzinnych wspomnień, w sercu zacnej mojej przyjaciółki.

Głęboko zamyślony nad znaczeniem uprawy roślin pastewnych i polityką księcia kanclerza niemieckiego, niedostrzeżenie prawie minąłem część łąk i wszedłem między stogi. Tu, zaraz przy wstępie, ciepły, południowy wietrzyk, razem z ponętą wonią świeżego siana, przyniósł mi rozmowę na dwa głosy z których jeden zdawał się należeć do Rózi, przystojnej córki mego rządcy, drugi zaś do czasowo w moim domu bawiącego wynalazcy nowej metody pedagogicznej.

— Więc stanowczo dziś... najdroższa?.. mówił literat:

— Kiedy się boję... odpowiedziała Różia.

— Nie mów tak aniele, zaklinam cię!.. Gdyby nie spóźniona pora, odczytałbym ci mój artykuł o emancypacji, w którym jak najbardziej stanowczo dowiodłem, że bojaźliwość nie przystoi kobiecie...

— Kiedy bo widzi pan... W tem miejscu wiatr dmuchnął silniej.

— Żartuj z tego... to są przesady dla utrzymania w karbach ciemnego gminu, lecz bynajmniej nie obowiązujące jednostek wyższych duchem nad ogół...

— Już ja chyba odejdę ztąd, bo jakby nas ojciec zobaczył.... On strasznie prędki do bicia!..

— Nie słyszałem odpowiedzi, a lękając się, aby pedagog, spotkawszy mnie przypadkiem w drodze, nie zechciał, bez względu na spóźnioną porę, odczytywać mi swoje niezrównane prace literackie, uciekłem co tchu...

Z łąk na folwark wiodła prosta i krótka droga, — obrałem jednak dłuższą. Jakoś tego wieczora natura wydawała mi się stokroć ponętniejszą niż zwykle; czułem, że na jej łonie chętniej noc bym przepędził, niż we własnym pokoju sypialnym. Nie badając psychicznych pobudek tego oryginalnego gustu, starałem się przechadzkę moją jak najbardziej przeciągnąć:

Nieszczęściem, nic nie trwa wieków na tym świecie: więcej też i mój spacer, choć powoli, zbliżał się

jednak do końca. Już minąłem dworskie płoty, tak chętnie wyłamywane i zwęglane przez małżonki właścicieli mniejszych posiadłości, już piękny Trezor przybiegł do mnie, naszczekując i kręcąc ogonem, i już gapiący się przed stajnią parobek zamysłał sięgnąć do czapki, aby z odległości zwyczajem nakazanej, powitać swego pracodawcę, kiedy nagle usłyszeliśmy rozdzierający krzyk majorowej:

— Sociu!.. Sociu!.. Sociu!..

Na to rozpaczliwe wołanie parobek skamieniał, Trezor podkulił ogon i nastawił uszy, a ja... ja, błędnem okiem śledząc zabudowania folwarczne, zapytywałem w najwyższym niepokoju: które też z nich uległo losowi starego gołębnika?..

— Sociu!.. Sociu!.. zawołała jeszcze straszliwszym głosem babka.

Na folwarku powstał ruch nadzwyczajny. Świętująca czeladka z kuchni, oficyny i szopy hurmem wybiegła na dziedziniec; Pawełek, zatrwożony widąc o los nowego przyjaciela, upuścił z rąk na ziemię 6 głębokich talerzy, które niósł do kredensu, — a trochę zdenerwowany z okazji święta kucharz, o mało że mi domu nie spalił, rozławszy na ogień całą patelnię masła...

— Sociu!.. Sociu!.. powtarzała nieutulona babka.

— Co to jest?.. co się dzieje?.. Paniczu!.. Panie Soterzel!.. wołano ze wszystkich stron.

— Ot, polekli się głupie ludziska!.. mruknął rozespany Kuba, który, usłyszawszy hałas, zółwim

krokiem wywlókł się ze stajni. Adyc to nasza pani zawdy tak woła panicza.

Jakby na potwierdzenie słów flegmatycznego stangreta, pani jego odezwała się:

— Dobrze żeście wyszli moje robaki, bo mi poszukacie Socia... A jakby nie chciał iść, to powiedzcie, że mu kluski na nic rozmiękną.

— Słuchaj Kubo, rzekłem w dosyć kwaśnym humorze, więc powiadasz, że wasza pani zawsze tak nawołuje panicza?..

— A ino co? odpowiedział stangret.

— Przecież, u djabła, mieszkacie w miasteczku, cóż ludzie na to mówią?

— A co mają mówić?.. Od tych czasów jak ja nastąłem, to nie mówią nic, ale jak się ino pani ze wsi sprowadziła, to, gadał Harasim, że kupę mówili... Ba, chodzili ponoć nawet do starszego ze skargą.

Łatwo pojąć, że nie zachęcił mnie bynajmniej do powrotu ten nowy a tak energiczny dowód przywiązania majorowej do wnuczka. W tej chwili, bardziej niż kiedykolwiek, czułem potrzebę świeżego powietrza i chyłkiem wyminąwszy dwór, wbiegłem niepostrzeżony do ogrodu.

Wiatr cicho przesuwiał się między drzewami;— w oddalonych i w nocnej pomroce tonących domach posiadaczy mniejszych własności ziemskich, błyskały drobne światła; ze wszech stron dolatywały mnie owe nieujęte szmery, jakie podczas letnich wieczorów tylko wśród pól i lasów słyszeć można. Podniosłem

oczy na niebo zasiane już mnóstwem migotliwych gwiazd i z uczuciem niewysłowionej tęsknoty przypatrywałem się tym dalekim, chłodnym i rozległym przestworom, kędy p. Louis Figuer umieszcza obywateli ziemskich, którzy zdążyli już uwolnić się od wszystkich stałych i niestałych ciężarów.

W tem, przy altanie w końcu ogrodu stojącej, dostrzegłem trzy postacie; po bliższem przypatrzeniu się im, poznałem, że to byli: Wojciech mój karbowy, Szmul wiejski krawiec a obecnie dzierżawca ogrodu, i, uczony posiadacz bandyckiego kapelusza z termometrem.

— Z przeproszeniem, mówił Szmul, ale to chyba nie może być, co pan gada! Państwo mają swój bardzo delikatny rozum, ale i nasz rabin to także nie głupi. Ny, a ja sam słyszałem od jego zięcia, może pan zna? tego Icka handlarza, co on gadał, że—jakby kto sto gwiazd naliczył, toby się u niego w głowie przewracało,—a jakby kto tysiąc wyrachował; toby był koniec świata....

— Juści że tak jest, to nie ma co o tem i gadać, potwierdził karbowy.

— Oto są skutki ciemnoty, przerwał literat, stanowiące zaledwie drobną molekułę tych, o jakich mówiłem już w artykule: o pożytkach z astronomji. Jesteś w grubym błędzie kochany przyjacielu, twierdząc, że światby się skończył, gdyby tysiąc gwiazd policzono, — boć przecie naliczył ich przeszło tysiąc sam Hipparch, zwany ojcem astronomji. A cóż mó-

wić o obu Herszlach, Medlerze i tylu innych badaczach eterycznej przestrzeni?...

— Zawdy to musi być łgarstwo, wtrącił karbowy, bo przecieć i ich rabin to téż parch, a taki nie spotrafił do tysiąca narachować....

— Nyl.. nyl.. bąknął Szmul.

— Pleciesz głupstwa mój kochany!.. ofuknął Postępowicz. A zresztą, czy podobna jest rozmawiać z wami o najwyższych zagadnieniach astronomji, jeżeli nie chcecie uznać nawet tak prostej prawdy, jak ta, że się ziemia obraca naokoło słońca, które w ognisku ekliptyki stoi nieruchome....

— Słońce stoi?.. zapytał Szmul ironicznie. To chyba u państwa stoi, bo my codzień widzimy, co się słońce rucha... Nieprawda Wojciechu?..

— Juści że prawda!.. Ja tu we dworze służę od dziecka i zawdy widzę, że słońce wstaje za Wólką, w południe jest nad lasem, a na noc chowa się za Żabiegłowy...

— U was to tak, a u nas w miasteczku, to wchodzi za kierkudem, a wychodzi za szkołą, — ale zawdy chodzi... uzupełnił Szmul.

— Przesady! przesady!.. oparte na najprostszycich złudzeniach zmysłowych. A tak obszernie pisałem o nich w artykule pod tytułem: złudzenia i rzeczywistość! mówił jakby do siebie, z odcieniem głębokiej goryczy, znakomity literat.

Nie miałem już cierpliwości przysłuchiwać się dłużej propagandzie niezmordowanego krzewiciela

oświaty. Ciągłe spotkania z nim drażniły mnie.— Uwierzyłem, że los zawistny wziął się już na mnie w tym dniu fatalnym, chcąc zatem spełnić do dna przeznaczoną miarę utrapień, szybko zawróciłem ku domowi.

Na ganku spotkałem się z Pawełkiem, który mi doniósł, że szanowna moja przyjaciółka jest niezdrową.

— Cóż to takiego? zapytałem.

— Iii... nic. Zjadła pani trochę klusków z mlekiem, potem baraniny, a potem kartofli ze śmietaną i jakoś ci ją brzuch zabolął, odpowiedział chłopiec.

— Gdzież jest pani?

— W pokoju sypialnym, Kazała paniczowi posłać na kanapie, a sama położyła się na pana łóżku...

— Uhu!.. A gdzież u diabła ja spać będę?..

— Pani kazała posłać panu w sali, razem z nauczycielem... I powiedziała jeszcze, żeby pana zbudzić jutro o czwartej, bo bardzo rano mamy jechać do miasta...

— Jakto, więc i ty pojedziesz?.. zapytałem zdumiony.

— A pojedę, proszę pana... Już mi pani dziś nawet kazała wyszykować liberję...

— Uważaj-no co ci powiem, rzekłem patrząc na chłopca tak, że aż się do ściany cofnął. Dla mnie pościelesz w kancelarji, a dla pana Postępowicza w sali. Zrozumiałeś?..

— Rozumiem, proszę pana, ale nie wiem jak to

będzie, bo pani mówiła jeszcze, że nauczyciel ma panu coś tam czytać i kazała nawet dwie świece...

— Łotrze! krzyknąłem nieposiadając się z gniewu, — jeżeli mi jeszcze słówko piśniesz, to każę ci wyrznąć sto batogów...

— W ten momencik zrobię, co pan każe! odpowiedział blady jak chusta Pawełek i wpadł do sali.

Był czas, żem zazdrościł żony majorowi Grzesiowi; dostawszy ją, dziś zazdrościłbym mu pewnie wiekuistego spoczynku....

ROZDZIAŁ IV.

W którym kłopoty babuni sprowadzają bardzo ważne powikłania.

Czujemy się w obowiązku zawiadomić tych których to obchodzi, że kancelarja, był to sobie zwykły pokój opatrzonej biórką i żelaznem łóżkiem, wybudowany obok sali, a jak można najbardziej odległy od sypialni, którą, na noc dzisiejszą, opanowała majorowa z ukochanymi i nieodstępny wncuzkiem i Mruczkiem.

Pedagog miał spać w sali, nie mówię: spał, lękając się zarzutu złej wiary, ze strony osób wiedzących czem jest sen i umiejących traktować go odpowiednio. Ludzie porządni, oddający się pokrzepiającej funkcji bez żadnych ukrytych myśli, najprzód zdejmują i sztuka posztuce składają ubranie na właściwem miejscu i w takim porządku, w jakim je nazajutrz

wkładać powinni. Następnie wchodzą do łóżka, owijają się w kołdrę, usiłują zająć położenie równoległe do poziomu i odmawiają modlitwy, jeżeli są konserwatystami, lub bawią się w myśli świeckie, jeżeli należą do obozu progreistów. Ale chodzić po nocy bez potrzeby, rozpałać światło bez dostatecznych przyczyn lub w jakikolwiekbyż inny sposób naruszać i zatruwać spokój bliźnim, dozwala się tylko lunatykom, warjatom albo literatom.

Ponieważ Postępowicz był literatem, nie dziwiłem się więc, ani temu że się nie rozebrał, ani temu że się co chwilę z kanapy zrywał i po sali spacerował. Owszem, takie zachowywanie się jego pochlebiało mi nawet: wiedząc bowiem, że wszyscy ludzie niepospolitego umysłu najskuteczniej pracują w nocy, byłem prawie pewien, że znakomity wynalazca nowej metody pedagogicznej, pod moim dachem, a co ważniejsza w moim bezpośrednim sąsiedztwie, spędzi coś takiego co stanie się dobrodziejstwem dla społeczeństwa, pomnikiem wiekuistej sławy dla autora i w końcu nie małą chlubą dla mnie:

Aby ułatwić czytelnikowi zrozumienie dalszego ciągu wypadków, zrobimy dwie małe uwagi odnoszące się do rozkładu pokojów.

Primo. Z sypialni zajmowanej przez majorową szło się do jadalni, później do sieni, z tamąd do sali, a następnie do kancelarji w której ja kwaterowałem.

Secundo. Z sali gdzie spał Postępowicz, wychodziło się na dziedziniec dwoma drogami, albo przez sień

i ganek, albo przez kancelarję. Drzwi od ganku były zamknięte.

A teraz ciąg dalszy.

Wędrówka po sali znudziła widać pedagoga, spróbował zatem wyjść przez sień i ganek na podwórze; zastawszy jednak drzwi zamkniętymi, wrócił, i po raz może dziesiąty legł na kanapie. Ale pragnienie szerszych widnokręgów przemogło widać nad potrzebą spoczynku, wstał bowiem znowu, i wypowiadam to z całym uznaniem należnem jego delikatności, jak najciszej przemknął się przez kancelarję. Wierny roli gospodarza domu chrapałem jak zarznięty, po wyjściu zaś literata, sądząc, że ten zapewne dłuższy czas zachwycać się będzie pięknymi widokami natury, stanowczo już pomyślałem o spaniu.

Czytelnicy w wieku poważniejszym! Wy którzyście już pozbyli się marzeń i niepokojów młodości, tak szkodliwie oddziaływających na zdrowie; wy dla których krew istnieje po to aby odżywiać, nie zaś aby wypalać organizm; wy szczęśliwi posiadacze miękkich materaców, ciepłych szlafroków i higienicznych pantofli,—powiedźcie czyzna zwas który tańszą, miłszą i mniej skomplikowaną rozrywkę jak sen?... Opatrzony w szlafmycę i czyste sumienie włazisz do łóżka, podkulasz nogi, drżysz, niby to z zimna, a właściwie dla sprawienia sobie przyjemniejszych densacji i..... usypiasz pomiędzy wata, płótnem i flanelą, myśląc ze złośliwą radością o tych, którzy w obecnej chwili zmuszeni są tłuc się żydowskiemi brykami, lub

tępić pluskwy w numerze jednego z pierwszorzędných hotelów!....

Przed twem okiem hermetycznie zamkniętem dla promieni ziemskiego światła, odsłania się pełen tajemniczych powabów świat wewnętrzny. Ileż to uzdolnień i pragnień zdawna przebrzmiałych i zmarłych budzi się wówczas w twej duszy?... A jakie cudowne obrazy!...

Naprzód, wśród ciemności tak czarnej, jak smoła, widzisz różno-kolorowe płatki; — potem kółka, esy i floresy;—dalej postacie ludzkie, zwierzęce i roślinne, poplątane z sobą w najdziwaczniejszy sposób, wreszcie obraz główny.

Śni ci się naprzykład, że jesteś Bismarkiem. Aaa., co za rozkosz!... Wprawdzie Thiers, w postaci powiatowego sekwestratora, patrzy coś na ciebie okrutnie z boku, a proboszcz, niby to zgniewany o zeszłoroczne siano i skasowanie jezuitów, nie chce z tobą grać w preferansa,—no! ale za to komornicy, wójt ci gmin, pisarze... che!... „Panie wójcie, mówisz do jednego, trzeba mi 100,000 żniwaków na jutro!...” „W ten moment!” odpowiada wójt i jakby z pod ziemi zjawia ci się chmura chełmów i iglicówek. Robisz przegląd, targujesz się, rozdajesz wódkę; ci krzyczą jak opętani, aż w tem Arnim melduje, że woły z Zabichgłów wlaży w twoją pszenicę. Zirytowany, do najwyższego stopnia, chcesz zwołać parlament i... budzisz się...

Naturalnie, dla przypomnienia sobie tak miłych obrazów, starasz się usnąć powtórnie, ale jakoś ci nie idzie... Fantazja spracowana tworzy widoki blade, ponure, a nawet straszliwe, o których jednak nie można powiedzieć, aby były nieprzyjemnymi. Śni ci się coś.., no coś niezdecydowanego: niby szare, niby zielone,—niby pole, niby łąka, a na tem coś... niby kopy, a niby stogi,—djabli zresztą wiedzą!.. Przy tem wszystkim oświetlenie bardzo liche; nie możesz się zorientować, gdzie jesteś, czem jesteś i co to tam chodzi między owemi zagadkowemi kupami, które stają się coraz podobniejsze do grobów... Coś chodzi... ale co?.. Strach cię bierze poczynając od łydek; czujesz gorąco w brzuchu, w sercu, w gardle... chcesz uciekać, a nie możesz i....

Między drzwiami sali a mojem łóżkiem, w półoświetlona tragicznym blaskiem bezksiężycowej nocy, stoi jakaś figura w bieli, z głową zawiniętą w żółtą chustkę, z wysokości i szerokości podobniejsza do nagrobka niż do postaci ludzkiej... Drżąc na całym ciele, zimnym potem oblany, zerwałem się dźwignięty jakąś nadzwyczajną siłą....

— Aj! aj! aj!.. cicho... cicho!.. Więc i ty pułkowniku ptaszeńku nie śpisz?..

— Ja?.. ja śpię!.. Co tu? kto tu?..

— Ach moja doleńko nieszczęśliwa!.. tożem się dopiero musiała przez te parę godzin odmienić, kiedy mnie nawet ty serce nie poznajesz...

— Więc to majorowa?.. Przebóg! i cóż się stało?..



— Aj! aj! aj!.. cicho... cicho!.. Więc i ty pułkowniku ptaszeń-
ku nie śpisz?.. (str. 42).

— Cholerę mam, jak rany boskie Kocham... odpowiada płacząc moja przyjaciółka.

— Przywidziało ci się chyba, Kochana Majorowo,—przecież nie słyhać o cholery ani w naszych ani w waszych okolicach...

— Ale ja mam cholere, hu! hu! hu!.. Posłuchaj tylko serce, jak we mnie gulgocze, tak jakby kto beczkę popłukiwał... Nie chciałam budzić tego robaka Socia i przyszedłam wprost do Ciebie... Ratuń duszę moją pułkowniku, bo ja muszę być jeszcze potrzebna na tym świecie, kiedy mnie Pan Bóg do tej pory zachował... Tak lamentując uklękła przy moim łóżku.

— A niechże Cię miljon!.. Uspokój się Kochana przyjaciółko... Mam tu krople chroniące na wieczne czasy... albo lepiej, umiem jedno greckie... to jest żydo... chciałem powiedzieć łacińskie zaklęcie od cholery...

— Oj to! to!.. zaknijże mnie, zaknij co prędzej, bo już mi się nie wiele należy,—błagała majorowa.

— Hum... tego... Ha!.. no więc: Terra est rotunda et globosa... Leo est generosus... Lupus est rapax et... et... Quatuor plagae coeli sunt: oriens, occidens, septentriol!.. zaklinałem straszliwym głosem ciężką chorobę mojej przyjaciółki, z trudnością przypominając sobie recepty [zamieszczone w Tirocinium linguae latinae. .

— Niech Ci Bóg najwyższy da zdrowie pułkowniku,—rzekła po chwili ciągle klęcząca pacjentka. Jak żyję nie zażywałam tak skutecznego lekarstwa...

— Więc już czujesz ulgę majorowo?

— Jakby ręką odjął...

— Właśnie tak być powinno. A teraz idź-że jejmość do łóżka, okryj się ciepło i śpij spokojnie, chociażby ci jeszcze co zagulgotało...

— Mój... mój pułkowniku... A przeprowadź mnie serce trochę, bo się boję sama wracać przez tyle pokojów...

W tej chwili stuknięto w kławkę...

— Ktoś idzie!.. szepnęła majorowa, tuląc głowę do poduszki.

W otwartych drzwiach stanął jakiś człowiek...

— Panie,—czy pan śpi? zapytał przybyły, w którym poznałem karbowego.

— Czego chcesz?..

— Abo proszę pana, ktości chodzi koło oficyny, koło rządowskich okien... A że jak raz jego nie ma w domu, zatem boim się, żeby jakiego złodziejstwa nie było.

— Pod twoją obronę uciekamy się!.. szeptała z płaczem moja towarzyszka.

— Puść psy!.. rzekłem bez namysłu, pragnąc jak najspieszniej pozbyć się gorliwego sługi.

Karbowy wyszedł.

— Jezus... Marja!.. co to będzie pułkowniku?.. Spalą nas, — zarzną nas, — okradną nas!.. krzyczała już bez żadnej ceremonji nerwowa osoba.

— Wychodź ztąd majorowo... na miłość boską!..

W tej chwili na podwórzu wszczął się straszliwy hałas. Podszczute psy ze złowrogim skowykiem cwałowały do oficyny, a jednocześnie Wojciech potężnym głosem zaryczał:

— Huzia ha!.. łapaj złodzieja!.. Na nogi chłopcy... Bywaj!..

— Łapaj!.. trzymaj!.. wołali ze wszystkich stron parobcy.

— Łapaj!.. trzymaj!.. zawtórowały dziewczinki...

— Panie! w ręce Twoje oddaję ducha mego... jękała majorowa, chwytając mnie za szyję. W tej samej chwili uczułem, że jakiś niepospolity ciężar wtłoczył się na całą długość mojego ciała...

— Babciu!.. babciu!.. gdzie jest babcia?.. wrzeszczał zatrwożony Soterek, pędząc boso z sypialni do mego niegdyś tak cichego zakątka.

ROZDZIAŁ V.

Okazujący gdzie podówczas był i co robił Postępowicz.

Po tej tak niezwykle ożywionej nocy nadszedł dzień, w którym mieliśmy jechać do miasta. Już wyobroczone konie i nasmarowane bryczki, już Kuba drugi raz przychodził na skargę, że mu fornale ukradli plecione biczysko, już wczorajsza moja pacjentka, przy współudziale kochanego wnuka, zjadła wazę barszczu ze szperką i kartoflami, wypła kawę i herbatę i zadysponowała befsztyk na drugie śniada-

nie, a kurczęta na drogę, a jeszcze Postępowicza nie było.

Nie wątpiliśmy, że jakaś przygoda spotkała amatora nocnych wycieczek, ale jaka i gdzie?.. nie wiadomo. Napróżno szukano go po stajniach i oborach,—nadaremnie badano czujnego sadownika Szmula. Myśląc, że poszedł do lasu i tam się zbłąkał, rozesałem konnych z trąbkami i strzelbami; ale gonitwy, trąbienie i strzelanie pozostały bez skutku. W końcu chwyciłem się już kroków desperackich, a chcąc znaleźć chociażby martwe zwłoki wielkiego publicysty, kazałem do stawu zapuścić sieci, a w podwórzu sondować gnojówkę. Lecz nigdzie nie znaleziono ani śladu.

— Nieszczęście! biadała majorowa, pewno go psy rozszarpały gołąbka. A taki był zdatny, a tak Socia uczył i do pism pisywał!.. Ach pułkowniku, pułkowniku! i pocóżes tego sierotę kazał psami szczwac?— Zginał, jak amen w pacierzu zginał, a co najgorsza, zgubił na wieki mego Socia robaczka,—bo jeżeli dziś nie pojedziemy do miasta, na nic cała edukacja tego ptaszka jasnego... Oj! doloż ty moja, pewno rozszarpany w drobne kawałeczki, nie wiem nawet, jak się pozbiera w dzień sądu ostatecznego!..

I płakała a jadła, jadła a płakała zacna moja przyjaciółka. Aż w końcu znudzony jej rozpaczą, rzekłem:

— Wiesz co jejmość? Mam przeczucie, że Postępowicz się znajdzie...

— I ja mam—wtrąciła starowina.

— No to dobrze. Zostawmy mu więc jejmoścín wózek z Kubą, a sami z Sociem jedźmy do miasta moją bryczką... Czy zgoda?...

— Ach zgoda, sokole mój. Jedźmy zaraz po śniadaniu, choć... co prawda, nie pięknie to wygląda taka krótka wizyta...

— Ależ szanowna majorowo...

— Tak, tak serce — i gdyby nie strach o Socia, Bóg mi świadkiem, żebym u ciebie do śmierci przesiedziała, tak mi tu dobrze.

— Hola Pawełek!.. A każ konie założyć do krakowskiego wózka, — krzyknąłem, chcąc stanowczo usunąć wszelkie skrupuły majorowej.

W tem, na podwórzu zrobił się jakiś hałas.

— Jest! jest!.. wołano, — jest na lipie!.. a dajcie tam znać do dworu!..

— Pan Postępowicz znaszędł się!.. zawołał Soterek, przybiegając z podwórza.

— Co ty gadasz?.. gdzie jest?.. krzyknęła głęboko poruszona staruszka.

— A hen tam, za stodołą, na samym wierzchu lipy... Ot, nawet ztąd widać jego kapelusze...

— Ach nieszczęście, — to tak przed psami uskokzył? Pewno nie żyje, kiedy się nie odzywa!

— Teraz już odzywa się, ale czemu to on poprzódki nie wołał, coby jego zdjęli ztamtąd? Ot sztuka.

— Pewno ze strachu oniemiał,—objaśniła babka.



— A hen tam, za stodołą, na samym wierzchu lipy... O! nawet ztąd widać jego kapelusze... (str. 48).

Milczałem, pragnąc przynajmniej w ten sposób złożyć hołd cichemu bohaterstwu człowieka, który osamotniony, niezrozumiany, nawet w tak krytycznej chwili, jeszcze nie chciał odwoływać się do obcej pomocy. O wzniosły...

Kto żył, biegł pod lipę; — poszedłem więc i ja, dźwigając, jak tego prawa gościnności wymagały, pulchne ramię szanownej mojej przyjaciółki.

Stanąwszy na miejscu, nie mogliśmy przedewszystkiem dość wydziwić się, jakim sposobem i stota, bądź co bądź, nieobdarzona pazurami niedźwiedzia albo leniwca, mogła wejść na tak potężne drzewo?

— To chyba czary, — szepnęła majorowa.

— Strach wiele może, proszę wielmożnej pani, — rzekł obecny przy tem karbowy Wojciech. Jak tylko pan poczuł nasze psy za sobą, to mu wnet i zgrabności przybyło. A zresztą, dodał z judaszowskim uśmiechem, nie takie jeszcze rzeczy dzieją się między ludźmi...

Usiłowałem nie zważać na te słowa wiernego sługi, którego niewczesna gorliwość stała się poniekąd przyczyną kłopotliwej sytuacji znakomitego wynalazcy nowej metody pedagogicznej. Nie mieszałem się też do rozmów, lecz z największym współczuciem patrzyłem na wierzch ogromnej lipy, myśląc z trwogą, na jak też to kruchej podstawie opiera się w tej chwili przyszłość młodych pokoleń naszego społeczeństwa.

Trzymając się oburącz grubej gałęzi drzewa, wybladły, zapewne z bezsenności, siedział Cezar Brutus

Napoleon Hijacynt Postępowicz w pewnego rodzaju widłach, uformowanych przez dwa ku górze wyrastające konary. Silny i chłodny wiatr bujał nim na wszystkie strony, wyginał w najrozmaitszy sposób jego fantastyczny kapelusz z piórkiem, a podwiewając od czasu do czasu poły pięknego tabaczkowego żakietu, z trudnym do uwierzenia bezwstydem odsłaniał straszliwą ruinę pozostałych części letniej garderoby znakomitego więźnia.

— Panie, panie!.. Dzień dobry panu!.. A niechaj pan już złązi, bo pora jechać do miasta, — wołał nierozwinięty Sotus, sądząc zapewne, że jeden z członków krajowej prasy perjodycznej, dla osobistej satysfakcji od kilku godzin huśta się na wysokości kilkadziesięciu stóp nad ziemią.

— Nie mogę, bo mi noga uwięzła, — odpowiedział słabym głosem publicysta.

— Trza żeby kto polazł na drzewo ze sznurami i pomógł panu zejść, — odezwał się karbowy. Bo jak go zamroczy, to pewniakiem kark skręci.

W oka mgnieniu znaleźli się dwaj ochotnicy: Pawełek i owczarczyk, słynni poszukiwacze gniazd wronich, którzy, przy współudziale kilku osób stojących na ziemi, dosięgli pierwszych gałęzi lipy i za chwilę znaleźli się obok pedagoga.

— Już, już! — zawołał Pawełek.

— Jedzie, jedzie! — krzyknęli stojący na dole.

— A pilnujcie od spodu, żeby nie zleciał — odezwano się z wysokości.

— Od powietrza, głodu, ognia i wojny... szeptała zamykając oczy majorowa.

— Iii... co mu ta będzie, — wtrącił karbowy. Drze o własnej mocy aż wióry lecą... Widać mu nogę przyszczypnęło, a nie mógł se sam wydobyć.

— Dalejże go, razem... hop!..—krzyknęli parobcy, chwytając zsuwającego się pedagoga.

— Chwałaż ci święty Antoni!.. zawołała majorowa, obejmując za szyję ocalonego literata. Ach jak ja się modliłam za ciebie, mój ty ptaszeńku!..

Nastąpiły powitania, po których staruszka zaczęła na nowo.

— Ach ja nieszczęśliwa,--czy pan tak na drzewie zdarł ubranie?.. Aaa.. wszystko na nic, jakby kto rozpalonem żelazem wypiekl... Aaach zemdleję!..— i krew widać... Na czymżeś ty takim ostrem siedział, panie Postępowiczu rybeńko?..

— To tak te psy podłe,—mruknął przygnębiony literat.

Pozbawiona delikatniejszych uczuć czeladź moja dusiła się ze śmiechu.

Wsparty na ramionach Socia i Pawełka, przechodził zwolna dziedziniec znakomity chory, rzucając melancholiczne spojrzenia na jedno z okien oficyny, w którym przystojna i nieczuła ekonomówna Rózia śmiała się jak opętana, zasłaniając twarz chustką.

Gdyśmy już wrócili do domu, Sotus, kładąc na stołku miękką poduszkę, rzekł do swego nauczyciela:



Wsparty na ramiach Socia i Pawełka, przechodził z wolna dziedziniec znakomity chory (str. 52).

— A pan to tak zrobił: przykazywał mnie, coby ja niczego się nie bał, a jak sam to aż na drzewo wkarabkał się, żeby jego psy nie roztargali. Ot sztuka.

— Szczęściem publicysta zanadto wiele posiadał uczucia własnej godności, aby odpowiadać na tak płytki i niesmaczny zarzut. Spojrzał tylko z najwyższą pogardą na swego lekkomyślnego ucznia i usiadł na poduszce z całą przezornością, jakiej wymagał opłakany stan jego zdrowia.

Majorowa wzięła mnie na stronę.

— Uważałeś pułkownika, jak on spojrzał na mego Socia?..

— Aaa... tak, trochę.

— A może który pies jest wściekły? Żeby on się czasem nie wściekł!..

Ruszyłem ramionami. Widocznem było, że stara dama nie domyślała się nawet istnienia owego nimbu, który w tej chwili otaczał blade czoło pokąsanego literata.

ROZDZIAŁ VI.

W którym mówi się o podróży do miasta i o rzeczach mających z nią związek.

— Powierzywszy literata pieczołowitym staraniom Kuby,—ja, moja przyjaciółka i jej mało rozwinięty wnuczek, dzięki usiłowaniom Ignacego, po ośmiogo-

dzinnym ruchu, docieraliśmy do miasta. Dla wiadomości osób interesowanych zaznaczam, że podróż tę sam odbywałem zwykle w ciągu niecałych sześciu godzin.

W trudnem znalazłbym się położeniu, gdyby mi kazano opisać dzieje grodu, który w obecnej chwili rozciąga się przed memi oczyma. Bo naprzód: kto go założył? Prawdopodobnie nikt. Tego rodzaju miasta powstają przypadkiem, nie wiadomo z kąd i dla czego, jak grzyby po deszczu. Zdaje się, że ktoś, chcąc grubo zażartować z architektury, wybudował ratusz z wieżą zakończoną drutem, na którym osadził drzwi od starej pułapki imitujące chorągiewkę. Zobaczywszy to, pradiadowie dzisiejszych mieszkańców rzekli: spróbujmy!.. i, nie mając nic lepszego do roboty, wzniesli kilkanaście domów, które prawnicy ich ozdobili wszystkimi kolorami tęczy.— Tym sposobem architektoniczne próbki ojców i malarskie ćwiczenia dzieci utworzyły spory bruljon, obecnie nazywający się miastem.

Z czasem i za łaską bożą porobiły się studnie, płyty, ulice i nocni stróże; później municypalność, bruk, latarnie i mostki na rynsztokach, a dziś jest tam już powiat, obraz cudowny, gimnazjum, prywatna pensja mężka i projekt obywatelskiej straży ogniowej.

— Ignacy serce, Ignacy!.. stój, stój rybeńko... zawołała w tej chwili nie wiem już po raz który szanowna dama.

— Co się stało?.. pytam, obudzony z marzeń nagłem (jakby powiedział Socio) *stanięciem* bryczki.

— Niestety. Czy nie widzisz pułkownika, że z fuzji znowu kłak wyleciał? Zatkaj serce, żeby nie wystrzeliła...

— Ależ kochana majorowo dziwaczysz. Tyle cię razy zapewniałem, że fuzja nie nabita.

— Co to znaczy. Zejdź no Sociu ptaszeńku i poszukaj kłaka, bo zemdleję!..

— Może pozwolisz majorowo sianem zatkać?— Wszakże to wszystko jedno...

— A zatkaj sobie czem chcesz, bo inaczej niepodobna będzie jechać. Strzeżonego Pan Bóg strzeże, a o nieszczęście nietrudno. Pamiętam, że kapitan Wiatrakiewicz, co to zabił żonę w roku 1829, zawsze gadał, że pistolet nienabity. Ach! po coś serce pułkownika brał tę fuzję?..

— Racz sobie przypomnieć kochana majorowo, żeś sama mi ją kazała zabrać. Ja zwykle bez broni jeżdżę...

— No, kazałam, zaraz: kazałam. Ja nie kazałam, bo ja tobie nic do rozkazania nie mam, tylko prosiła... A zawszem taki mówiła, żeby zatkać.

Zwyciężony tak nagłą zmianą frontu, co w logice niewieściej praktykuje się bardzo często, zatykam fuzję sianem i znów zaczynam rozmyślać o mieście, do którego dojeżdżamy.

Wielka obfitość wody zaskórnej w tych okolicach

sprawia, że 35% dzieci rodzi się z wodą w głowie, a 40% osób dorosłych umiera na wodną puchlinę.

— Wiesz serce, mówi mi w tej chwili staruszka, że ta oto karczma wcale mi się nie podobała. Nie nocowałabym w niej za żadne skarby świata... Oni tu pewnie zarzynają podróżnych i ciskają do studni; na własne oczy czytałam, że w Londynie był taki wypadek.

— Hum! hum! odpowiedziałem patrząc na brudną i odrapaną karczemkę, z której w tej chwili wyszedł jakiś oberwaniec, twarzą i ruchami przypominający suchotnika uwolnionego ze szpitala z powodu braku funduszków na kosztą pogrzebu.

— Ach moja doleńko,—żeby on czasem nie chciał się na nas rzucić... A może jaki jego kamrat uczepił się pod bryczką? Czytałam, że w Paryżu zbójca zaczął się pod powozem i wszystkich pozabijał. Ach pułkowniku, pułkowniku!.. i dla czegoś ty fuzji nie nabił jadąc w drogę?

— Babciu! woła Soterek, a niech babcia przykaże, coby Ignacy stanął, — to popatrzymy jak uzary musztrują się...

— Stój, stój! Ignacy, — woła babka, z zajęciem patrząc na błotnisty plac, gdzie jeźdźcy poili i czyścili konie.

— Babciu!.. ja postąpię do uzarów. Czort mnie tam po tych wszystkich uczeniach...

— No, jeśli chcesz moje dziecko, to pójdiesz.— Poprosimy pięknie pułkownika, to ci miejsce wyrobi.

— Ruszaj Ignacy! zawołałem.

Jedziemy parę minut wcale przyzwoicie.

— Babciu! babciu!.. woła znowu Soterek. Widzi babcia to oto... tam hen!.. to pewnie prochownia.

— Jezus, Marja!.. a ciśnijże pułkowniku cygaro, bo jakby iskra padła, tobyśmy zginęli na wieki.

— Nie bredziłabyś też majorowo, odpowiadam już trochę znudzony. Gdzie Krym?.. gdzie Rzym?.. Któż słyszał, aby iskra od cygara podpaliła budynek o kilkaset kroków odległy?..

— Zawsze siano w bryczce zapalić może, a nawet i prochownię. Alboż to raz prochownia się spaliła? Sama czytałam, że jak gdzieś tam piorun uderzył w amunicję, to wszystkich robotników i szyldwachów na kawałki porozrywało... Ach ja nieszczęśliwa!..

Dojeżdżamy do rogatek; Ignacy zatrzymuje konie, a różowonosy poborca, fanatyczny zwolennik szkoły spirytualnej, niepewnym krokiem zbliża się do bryczki po odbiór kopytkowego, w ilości przez ustawę przepisanej.

— Ach nieszczęście, pewnie nas wezmą do rewizji, a w koszałce jest akurat kiełbasa wędzona,—szepce wybladła ze strachu majorowa.

— Upadam do nóg wielmożnemu panu! mówi uprzejmy celnik poddając się w tej chwili tak gwałtownemu ruchowi, jakby istotnie miał zamiar wykonać swoją pogróżkę. Oho!.. i żonę pan dobrodziej wiezie?.. Phy!.. i synka?..

— A nie ma u was cholery w mieście? pyta moja przyjaciółka, z dziwną sympatją wpatrując się w kolorowy nos prywatnego oficjalisty.

— Była, proszę wiel: nożnej pułkownikowej, była pod naszą rogatką... Ale jakim się do niej zabrał....

— Ruszaj Ignacy, rzekłem oddając pieniądze energicznemu stróżowi bramy miejskiej.

— A to odemnie serce, za dobre słowo, mówi majorowa, wręczając jakiś mały upominek zdenerwowanemu słudze instytucji społecznych.

Zwolna ruszamy przy akompaniamencie błogosławieństw dobrego celnika, których część głużył turkot bryczki.

— Konsolacji... zdrowia... niech Bóg najwyższy... w późnym wieku!..

— Uważasz serce, jakie on niestworzone głupstwa wygaduje? mówi do mnie sąsiadka takim tonem, jakby oczekiwała najenergiczniejszych zaprzeczeń z mej strony.

— Pijaczyna!.. bąknąłem, z trwogą myśląc o fałszywych wnioskach nietrzeźwego poborcy.

— Proszę pana, a czy tutaj zajedziemy? pyta Ignacy ukazując malowanym biczyskiem jedyny hotel w mieście.

— Zajężdżaj!..

Ledwie bryczka stanęła w sieni, wnet otoczył ją rój faktorów.

— Może państwo kupują mydło, skarpetek, szelek, perfumy?.. Wszystko mam i tanio sprzedaję!.. woła jeden.

— Idź ty!.. przerywa mu drugi. Państwo pewnie zboże mają na sprzedaż? Ja dam kupca...

— Państwo synka przywieźli do gumnazje? Nu, to ja państwowi dam stancje bardzo tanie i bardzo porządne,—upewnia trzeci.

— Na bok szachraje... zawołał w tej chwili gospodarz hotelu. Państwo pozwolą numer?.. Józef! Józef!.. a otwórz tam pierwszy numer i zejdź po rzeczy... Och Marja!

Wysiadłszy z należytymi ostrożnościami i prawie gwałtem uwolniwszy się od uprzejmych pośredników mojżeszowego wyznania, weszliśmy na korytarz.

— Oto jest numer!.. Łóżko dla państwa, kanapa dla synka, komoda, umywalnia... recytuje usłużny gospodarz takim tonem, jakimby zapewne grzeczny kat mówił do dobrze wychowanego pacjenta: „Tu bądź pan łaskaw położyć szyję, a tu racz rzucić głowę, kiedy ci ją odetnę!..“

— Proszę dla siebie o pokój oddzielny, odzywam się. Tu stanie pani majorowa z wnuczkiem.

Uprzejmy właściciel hotelu skłonił się bez żadnych oznak zdziwienia lub niedowierzania.

— Daj panie gospodarzu rybeńko, mówi promieniejąca moja przyjaciółka, osobny numer dla kochanego pułkownika, ale taki, żeby od naszego pokoju do jego można było drzwi otworzyć... Czy jest taki?

— Jest pani dobrodziejko, och Marja!.. Oto te drzwi prowadzą do numeru drugiego, gdzie będzie mógł zanocować pan pułkownik,—odpowiada wyrozu-

miały gospodarz z miną człowieka, który potrafi szanować cudze tajemnice i gwałtem odpycha wszelkie domysły mogące nie podobać się gościom.

— Hej, panie Markierowicz! woła z sieni jakiś jegomość. A czy nie ma jeszcze furmanki z Psich Dołów?.. Aaa kogoż to ja widzę?... kochany nasz pułkownik!.. Mówiąc to, przybyły rzuca mi się w objęcia.

— Kochanego pana Gadulskiego, — odpowiadam przybyłemu, w którym poznałem bardzo dawną znajomość.

— Gadulsiu serce, wtrąca majorowa, a mnie to nie poznajesz?.. Toż to ja....

— Szanowna majorowa dobrodziejka? A poznałem, poznałem! wykrzykuje rozrzuwniony gość całując tłuste ręce starej damy. Kopę lat jużesmy się nie widzieli... No, ale wejdźmy do numeru, bo już zwracają na nas uwagę.

— Toś nam ptaszeńku spadł jak z obłoków, — a akurat jesteś potrzebny, — mówi jejmość siadając na kanapie.

— Ja zawsze jestem potrzebny, odpowiada przybysz z miną człowieka uznającego w sobie pewną wartość. Ale o cóż to chodzi?..

— Przywiozłam tu mego wnuka Socia, którego z trzeciej klasy nie wiem za co wy..... to jest nie przyjęli. Mam wielki kłopot z tego powodu i chciałam się właśnie z panem naradzić, — mówi ze skromnym zakłopotaniem czcigodna matrona.

— Ooo... z największą chęcią poradzę pani i to poradzę dobrze, tak jak to ja umiem, ale... nie dziś i nie jutro. Dziś muszę być na dwu radach rodzinnych w mieście, a jutro na jednej na wsi. Bo wyobraźcie sobie państwo, że niech się tylko komu w naszych stronach podoba umrzeć, wnet mnie mianuje głównym opiekunem dzieci, żony i całej rodziny... Tak mi ufają ludziska, a nie wiem nawet za co?..

— Za to, żeś uczciwy, mój Gadulsiu, żeś uczynny... Tak z tobą zawsze bywało od niepamiętnych lat, wtrąca babunia Soterka.

— Ciężki to kłopot dla człowieka z takim sumieniem jak moje, ciągnął Gadulski. Jednego musisz do szkół oddawać, o innego się procesować, tej sprowadzaj mamkę, bo biedactwo zębów jeszcze nie ma, tamtego znowu żeń, albo co gorsza, trumnę mu zamawiaj. Bo to, panie dobrodzieju, niektórzy z moich wychowalców postarzelisi już, a ja jeszcze dbam o nich, przez głupie moje serce. Ot, i w tej chwili muszę iść na nową radę...

— A na miłość boską, nie odchodź rybeńko!.. woła staruszka, bo muszę z tobą koniecznie o Sociu pogadać, a czas tak krótki...

— Niepodobna, pani dobrodziejko! odpowiada miłosierny Gadulski. Chętnie wezmę pod opiekę wnuczka pani, ale dopiero pojutrze. Dziś muszę zająć się tymi, którzy mnie zobowiązali wcześniej.

— Bój się Boga serce, tożes ty jego opiekun da-

wniejszy, niż tych wszystkich, — mówi już na pół z płaczem majorowa.

— Ja?.. ja?.. zapytuje Gadulski takim tonem, jakby mu ktoś zarzucił występki fałszowania biletów kredytowych. Ależ ja to kochane dziecko pierwszy raz widzę jak żyje!..

— Jako pierwszy raz?.. Przecież syn mój, nieboszczyk Ksawcio, umarł na twoich rękach i nawet zapisał ci parę tysięcy...

— Tak! tak! potwierdza przybyły. Onegdaj także jeden z moich przyjaciół oddał Bogu ducha w mojej obecności.

— No, więc Ksawcio mnie i tobie przekazał syna swego Socia, a nawet mnie zaklinał, ażebym nic nie robiła bez twojej porady. Ja cię szukam oddawna, aleś ty tak gdzieś przepadł, jak kamień w wodzie.

— No proszę? Tak, tak! pamiętam teraz, — mówi zakłopotany opiekun. To to on?.. jak wyrósł, jak wyładniał, czysty wizerunek Ksawcia, pociemku bym go poznał. Mój Boże! tak często myślałem, co się też dzieje z tym ukochanym chłopcem?.. Chodź że w moje objęcia Klimciu... to jest Sociu, ciągnie dalej, obejmując brudną szyję pupila. Tazem to ja dla ciebie drugi ojciec... O, przy mnie nie zginiesz... ja cię wykieruję na ludzi... ale dopiero pojutrze, bo dziś na honor nie mam czasu... Muszę iść na radę familijną, bo czekają na nas z kola..... chciałem powiedzieć z niecierpliwością...

— Cóż ja teraz pocznę nieszczęśliwa? jęczy stro-
skana babka.

— Może kochany pan raczysz zajść dziś do nas
po kolacji na lampeczkę wina?—pytam nieśmiało za-
cnego protektora sierot.

— Hum!.. może... jeżeli mi czaspозwoli... A o któ-
rej godzinie?..

— Kiedy szanowny pan będziesz wolny, — odpo-
wiadam.

— Ooo... to zależy od pułkownika dobrodzieja.
Ja będę cały wieczór wol... to jest będę się starał...

— No, to za dwie godziny. A możebyś pan
przyprował z sobą kilku znajomych, takich oto
ludzi uczciwych i rozsądnych, tobyśmy pogadali
razem?..

— Owszem, owszem, kochany pułkowniku... Ni-
gdy nie odmawiam rady i opieki wdowom i sierotom,
mówi wzruszony Gadulski. Za dwie godziny z pe-
wnością przyjdę, a teraz żegnam państwa.

Powiedziawszy to, z największem rozczuleniem
uściskał babcię i Socia i zapewnił ich o dozgonnej
przyjaźni i szacunku; mnie zaś szepnął przy wyjściu
do ucha:

— Dzięki Bogu, że mamy interes z kochanym
pułkownikiem, bo staruszka djabelnie skąpa i z pe-
wnością dałaby nam liche wino.

— To rzadkiej zacności człowiek, mówi moja
przyjaciółka, gdy się już za gościem drzwi zamknę-

ły. Co za serce, co za dusza... O, bodaj się tacy na kamieniu rodzili!

Tak tedy, znaleźliśmy już jednego i to dobrego członka rady familijnej.

ROZDZIAŁ VII.

Z którego domyślićby się można przyczyny szkolnych niepowodzeń Socia.

Tego samego dnia, o godzinie ósmej, w numerach połączonych zjawił się punktualny Gadulski w towarzystwie trzech bardzo poważnych osób, które według jego światłej i bezinteresownej opinii, miały niezaprzeczone prawo decydować o losie Soterka.

Nastąpiły prezentacje.

— Mam zaszczyt, mówił szlachetny Gadulski, przedstawić państwu moich szanownych i uczonych przyjaciół. Oto pan Zakuwalski, nauczyciel przedmiotów matematycznych na pensji...

— I jeografji!.. dodaje prędko chudy, źle ubrany, z pałającymi oczyma człowiek, takim tonem, jakby od jego wykładów zależała jednostajność wirowego ruchu ziemi.

Z głęboką i niekłamaną czcią, ja, majorowa i Socio, uchyliśmy głowy w kierunku pieca, gdzie uplaconował się jeden z przedstawionych nam kapłanów wiedzy.

— Pan Prjamowski!, ciągnął usługny Gadulski, — nauczyciel historii i łaciny w zakładzie pana...

— Historji starożytnej i języka łacińskiego, uzupełnił starannie ubrany mężczyzna, widocznie wiele dbający o utrzymanie w kierunku normalnym swej jajowatej głowy, osadzonej na niezwykle długiej i cienkiej szyi. Rozumie się, że słysząc to, składamy jeszcze głębszy ukłon.

— Za chwilę, mówi dalej niezmordowany opiekun nieletnich tym samym pełnym namaszczenia głosem, przybędzie tu pan Gamadeltowicz emeryt, głośny badacz języka greckiego, mąż wielkiej nauki, prawdziwa ozdoba miasta.

— Należałoby powiedzieć: ozdoba całego kraju,—poprawia właściciel długiej szyi.

— Tym razem nie wiedząc co począć, ja ukłoniłem się Sociowi, majorowa Gadulskiemu, a trzech świeżo przybyli panowie—komodzie, na której ustawiono butelki.

— A to, kończy rekomendacje zacny Gadulski, jest pan Pieprzkowski, szanowny kupiec i obywatel naszego miasta.

— Właściciel handlu win, korzeni i towarów galanteryjnych,—dodaje nizki i gruby jegomość z twarzą podobną do kolorowej piłki i bardzo sympatycznie uczesanemi włosami.

— Niechże panowie będą łaskawi spocząć, — mówi uprzejma majorowa do ciągle kłaniających się członków doraźnej rady familijnej. Jakże mi przykro, że nie mogę panów przyjąć we własnej chacie.



P. Gadulski (str. 65).

Na te słowa obecni wyrzucili z płuc po kilka wykrzykników, przeznaczonych prawdopodobnie dla uzewnętrznienia głębokiej bóleści, jakiej doświadczają z powodu smutku gospodyni i innych od nich niezależnych powodów. Następuje regulowanie krzeseł i zajmowanie miejsc, w trakcie czego kupiec i obywatel miasta szepnął do mnie:

— Pan pułkownik dobrodziej wziął wino od Goldszwajna?.. Na ucziwość, nie będę mógł pić tej mikstury, myśląc, że mi dziś akurat przysłano beczkę węgierskiego.

— Jaka szkoda, — odpowiadam.

— Przysłano mi także, ciągnie kupiec, pakę kamaszy i rękawiczek warszawskich, 30 głów cukru i 100 funtów herbaty. Prócz tego w handlu moim znajdują się księgi gospodarskie, salami, papier stęplowy...

— Pozwólcie panowie, przerywa troskliwy Gadulski, przedstawić sobie wnuczka i wychowanka czcigodnej pani majorowej, Sotera Moździerznickiego.

— Hum! hum! mruknęli uczeni członkowie rady patrząc z góry na Socia, który przez ten czas z gorączkowym zapalem usiłował wepchnąć guzik od surduta w dziurkę od kamizelki.

— W której był klasie? pyta uczony znawca łaciny, a zarazem posiadacz jajowatej głowy.

— Aż w trzech, szanowny panie, — odzywa się babka bardzo wzruszonym głosem.

— I chce wejść do której? zapytuje w dalszym

ciągu starożytnik, z całą uwagą przypatrując się sufitowi, jak gdyby ztamtąd oczekiwał odpowiedzi.

— Otóż tego nie wiem łaskawco, czy mam go już oddawać do szkół, bo... bo... Tu nagle ucięła szlachetna moja przyjaciółka, czyniąc przy tem ruch taki, jakby miała zamiar utrzyć nos frendzlami swojej mantyli.

— Aha, rozumiem, — wtrącił matematyk. Życzysz więc sobie pani, aby jej wnuk był wyegzaminowany z matematyki?..

— Sądzę, przerwał łacinnik, że pani pragniesz swego wnuka poddać egzaminowi z języków starożytnych?..

— Od lat 10-ciu nie mówią do siebie, — szepnął mi Gadulski. Pokłucili się o liczebniki, ale obaj znakomici ludzie, słowo honoru...

— To jest, — mówi niepewnym głosem majorowa, — ja chciałam się panów poradzić, co z nim zrobić?..

Usłyszawszy to, obaj uczeni widocznie mieli zamiar spojrzeć na siebie ze zdumieniem; dość wczesna jednak refleksja sprawiła, że się jednocześnie odwrócili do siebie tyłem.

— Chciałam się dowiedzieć, ciągnęła majorowa, jakie zajęcie, czy też jaki fach jest teraz najlepszy, żeby już raz chłopca postawić na jakiejś drodze.

— Rozumiem! — objaśnia matematyk, — chodzi więc o przekonanie się, o ile też umysł dziecka jest rozwiniętym?

— Zapewne, przerywa filolog, życzysz sobie pani poznać, o ile jej wnuk skorzystał z pracy szkolnej.

— Tak, właściciel.. uzupełnia majorowa, chciałabym go oddać do pracy, żeby już chłopak zaczął być i sobie i ludziom pożyteczny i Bogu miły,—bo te tam wszystkie... nauki, na nic się nie zdadzą!..

Tym razem krzewiciele oświaty na znak zdumienia jeszcze energiczniej odwrócili się tyłem do siebie, co widząc niecierpliwy Gadulski rzekł:

— Szanowna pani majorowa porzuciła już myśl oddawania wnuczka a mego kochanego pupila do szkół, chce więc zapytać nas, jaki zawód w dzisiejszych czasach uważamy za najlepszy dla młodzieńca w jego wieku.....

— Tak, właśnie,—potwierdza babka.

— Do kupca!.. do kupca!.. mówi półgłosem właściciel handlu win i korzeni.

— Aha, — przerywa matematyk, — rozumiem!.. Chodzi zatem o to, aby się przekonać, do czego jest najzdolniejszy?..

— To! to! to!.. potakuje stroskana majorowa.

— No, jeżeli o to tylko chodzi, to zaraz się dowiemy, — przerywa matematyk. A przynieś mały tabli... to jest papier, pióro i atrament.

— Sociu, tu widziałam, na komodzie, — zachęca majorowa wnuczka, nie zwracając uwagi na ironiczne grymasy łacinnika.

Zamiast szukać żądanych efektów, przerażony Socio począł rozpinąć wszystkie po kolei guziki od



— Pan Zakuwalski, nauczyciel przedmiotów matematycznych na pensji. (str. 65).

kamizelki. Nie wiadomo nawet na czemby się skończyły te przygotowania egzaminacyjne nierozwiniętego młodzieńca, gdyby go nie wyręczył przytomny Gadulski, który w okamgnieniu znalazł i na stole ustawił wszystko, co do naukowych poszukiwań okazywało się niezbędnem.

Nastąpiła głęboka cisza.

— Zaczniemy od arytmetyki,—rzekł matematyk. Zadam ci przykład. Uważaj mały i pisz. Jeżeli $13\frac{10}{17}$ żołnierzy kończą pewną podróż w ciągu $20\frac{5}{6}$ godzin, — to $47\frac{12}{23}$ żołnierzy, w ile godzin tę samą podróż ukończą?.. Uważaj mały!.. z źle napisałeś, l źle napisałeś i y źle napisałeś. Powtórz zadanie.

Socio milczy i jak najostrożniej obraca pióro w rękach.

— Czy rozumiałeś mały?.. pyta gwałtowny egzaminator, udając, że nie zwraca uwagi na wymowne grymasy filologa.

— No, Sociu!.. odzywa się babka,—nie rób sobie wstydu. To przecie wiesz, bo twój dziadek był w wojsku.

— Ułóż proporcję mały, — zachęca źle ubrany matematyk Socia, który przy wyrazie *ułóż* rzucił tak rozpaczliwe spojrzenie na jedno z niezajętych krzeseł, że aż nerwową jego babkę przeszedł dreszcz konwulsyjny. No, — ciągnie matematyk, — tylko śmiało!.. x do $20\frac{5}{6}$ jak... A może wolisz przez rozumowanie?

— Nie rozumiem!.. odpowiada nieszczęśliwy pacjent.

— Uważaj mały, — prawi popędliwy egzaminator, — uważaj, to powtórzysz.. Jeżeli $13^{10}/_{17}$ żołnierzy odbywają podróż w ciągu $20^{5}/_{8}$ godzin, to jeden żołnierz odbędzie ją w czasie $13^{10}/_{17}$ razy krótszym, a $47^{12}/_{23}$ żołnierzy, odbędą ją w czasie $47^{12}/_{23}$ razy dłuższym....

— Pan profesor pozwoli zrobić jedną uwagę? — wtrącił kupiec, na którego okrągłej twarzy malował się najwyższy podziw, zapewne dla ścisłych rozumowań źle ubranego mężczyzny.

— Za pozwoleniem! przepraszam!.. protestuje energiczny matematyk. Omyliłeś się mały, — dodaje, groźnie patrząc na Socia. To nie będzie tak, ale tak... Uważaj!.. Jeżeli $13^{10}/_{17}$ żołnierzy odbywają podróż w ciągu $20^{5}/_{8}$ godzin, to jeden żołnierz odbędzie ją nie w czasie $13^{10}/_{17}$ razy krótszym, ale dłuższym..... Oto tu jest węzeł kwestji, teraz zapewne rozumiesz?.. A $47^{12}/_{23}$ żołnierzy, odbędą ją...

— Panie dobrodzieju, — odzywa się stara przyjaciółka najpokorniejszym głosem, — ja nieraz z moim mężem, który był majorem 5-go pułku piechoty, jeździłam do Warszawy na manewra i zawsze obserł wowałam, że czy to jeden, czy stu żołnierzy — to jednakowo idą...

— Ale bo to, widzi pani, był przykład na ułamki i proporcje, — objaśnia bardzo niepewnym głosem wyrozumiały matematyk.

— Nic nie stanowi! — wtrąca kupiec, przybierając może nazbyt poufałą postawę w obec tak znakomitego uczonego.

— Ach, bodajto, — zawołał nagle wzruszony uczeń Euklidesa, — omyliłem się!.. Tak jest, macie państwo poniekąd racją, ponieważ ja mówiłem o żołnierzach, ale myślałem o koniach...

— Z końmi toż samo, panie dobrodzieju, — odzywa się majorowa.

— Jeden djabeł! — potwierdza kupiec, wsuwając ręce w kieszenie i wyciągając swoje krótkie nogi w kierunku nóg głębokiego matematyka.

— Bardzo żałuję, szepce do mnie Gadulski, że nie znam wyższych rachunków. To piękna nauka!..

Przez czas trwania tej uczonej dysputy, biedny Socio, jakby rozumiejąc całą trudność swojej pozycji, przestępował z nogi na nogę, otwierał i zamykał gębę, tudzież poprawiał rozmaite części swej garderoby, przypuszczając zapewne w błogiej nieświadomości, że wcześniej lub później badania naukowe spowodują niejaki modyfikacje w jego świątecznym stroju.

— No, mniejsza oto, — odzywa się po chwili milczenia matematyk. Uważaj mały, zadam ci pytanie z geometrii.

— Uważaj serce, — powtarza babka, wysoce zaniepokojona dźwiękiem prawie obcego jej wyrazu.

— Czy znasz mały koło?.. Koło! rozumiesz? — ciągnie dalej niespracowany egzaminator.

— Koło jeziora... z wieczora... chłopcy... biegali i na żaby czuwali... odzywa się Socio po głębokim namyśle. Babka tryumfowała.



— Pan Prjamowski, nauczyciel historii i łaciny (str. 65).

— Bój się Boga chłopcze, co ty gadasz? — woła przerażony matematyk. Ja się ciebie pytam o koło z geometrii, o geometryczne własności koła!..

— Sociu serce, Sociu uspokój się, odpowiadaj uważnie, — zachęca majorowa Socia, z miną osoby, która nagle straciła wiarę w nieprzenikliwość podłogi i wytrzymałość krzesła.

— Własność koła, koła z geometrii! — powtarza nielitościwy inkwizytor.

Nieszczęsny Socio milcząc wpycha obie ręce za kołnierz od koszuli, jakby chciał samobójstwem uwolnić się od dalszych męczarni.

Nagle oblicze stroskanej majorowej rozjaśniło się tak niezwykłym blaskiem, jakby w tej chwili rozwiązała jakąś trudną i męczącą zagadkę, coś w rodzaju ogólnego rozwiązania równań stopni wyższych nad czwarty. Nie czekając też na dalsze pytania, gniewnym głosem zawołała:

— Aaa pfe serce Sociu, bardzo pfe, żeby takiej rzeczy nie wiedzieć. Tażby tobie Kuba nawet powiedział, że Koło to jest własność geometry pana Sznurowicza.

— Władysława Sznurowicza?.. znam go, — wykrzyknął Gadulski, niezmiernie kontent, że raz przynajmniej może przyjąć udział w rozprawie z dziedziny nauk ścisłych.

— Co też państwo wygadujecie?—odzywa się kupiec głosem, w którym drgało poczucie swej wyższości. Przecież pan profesor nie pytał czyją własnością,

jest wieś Koło, ale jaką ma własność koło... no te koło zwyczajne, okrągłe...

— Tak, tak,—potakuje matematyk, rad, że może pochwalić człowieka, który przed chwilą zdawał się podejrzawać gruntowność jego wysoce zawikłanych rozumowań.

— A co? widzicie państwo,—ciągnął kupiec. Pan mówił o kole zwyczajnem, no, a koło zwyczajne to ma taką własność, że się obraca...

— Ależ nie!.. przerywa matematyk.

— Jakto nie?.. zapytuje urażony kupiec.

Przez cały czas sporów, najciekawszem było zachowywanie się uczonego znawcy łaciny, a zarazem posiadacza dziwnie uformowanej głowy. Znakomity ten przeciwnik matematyki,—którą znosił tylko przez sympatją dla liczebników, — od początku dyskusji uśmiechał się, wysuwał wargi, podnosił oczy na sufit i wyciągał niecierpliwie nogi za każdym odezwaniem się swego szlachetnego antagonisty. Naodwrot znowu, z całym zapałem potakiwał każdemu wystąpieniu opozycji, co czyniło taki efekt, jakby wiatr bujał masztem, na którym dla niewiadomych celów osadzono kawona. Aż nazbyt widocznem było, że te stroniczne manifestacje w wysokim stopniu oburzają poczucie sprawiedliwości w popędlwym reprezentancie miejscowej wiedzy matematycznej, który po ostatnich słowach przedstawiciela klasy handlującej uniósł się, chwycił kałamarz i miał wyraźny zamiar cisnąć go na starannie uczesane włosy kupca, sądząc zapewne,

że tym sposobem da najdotkliwiej uczuć swoje niezadowolenie jajowatej głowie tryumfującego łacinnika.

Nie wiem do czego by doszło w szanownem zgromadzeniu osób radzących o przyszłości Soterka, gdyby nie zażegnało burzy przybycie nowej osoby. Był to pan Gamadeltowicz.

Znakomity ten, jakkolwiek niski, zgarbiony i żółty staruszek, cicho wsunął się do numeru, podejrzliwie oglądając zebranych i gwałtownie ściskając w rękach jakąś starą i podartą księgę, którą po zajęciu miejsca natychmiast otworzył.

— Mamy tu kandydata do egzaminu, niejakiego Moździerznickiego, — rzekł cienkoszyi Prjamowski.

— Czy nie Ksawery? — spytał przybyły, podkreślając coś ołówkiem w starej księdze.

— To syn Ksawcia, Ksawcio już nie żyje... Pan dobrodziej znał Ksawerego?.. pyta głęboko rozrzewniona majorowa

— Straszny osioł był, czy i syn taki? — pyta, nie podnosząc oczu od książki stary uczoney, struchlałej na ten raz mojej przyjaciółki.

— Co też szanowny profesor tak czyta? — zagadnął szlachetny Gadulski, pragnąc widocznie zatrzeć niefortunne wspomnienie o nieboszczyku.

— At! znalazłem jakiś dawny dykcyjonarz grecko-łaciński i koryguję go potrochu, kiedy mi czas pozwala, — odpowiedział czcigodny badacz, znacząc coś ołówkiem.



— Pan Pieprzkowski, szanowny kupiec i obywatel. (str. 66.)

— Pan dobrodziej tak do druku przygotowuje?— wtrącił kupiec, poprawiając chustkę na szyi, jak człowiek, któremu nieobcą jest filologja.

— Iii nie, — odparł poważny korektor. To tak sobie... dla własnej satysfakcji!

Odpowiedź ta nie zdawała się widać dość jasną właścicielowi handlu win i korzeni, zwrócił się bowiem do mnie, pokazując palcem na czoło z giestem, którego znaczenia przez delikatność nie chciałem się domyślać.

— Dużo też szanowny kolega znalazł dziś błędów? spytał łacinnik.

— Kilka!.. Napisali naprzykład *spiritus asper* przy wyrazie *Athena*, co jest grzechem wołającym o pomstę do nieba... W *ho antropos* postawili nad *omegą accentus circumflexus*, co jest poprostu błazeństwem. No, i w wyrazie *ho archon* napisali *omikron* zamiast *ro...* a zresztą nie wiem, — może się ogonek zatarł, bo to książka była widocznie w rękach jakiegoś hultaja, który jej nawet od zniszczenia zabezpieczyć nie umiał... mówił bolejącym głosem znakomity uczony.

— Może szanowny kolega raczysz wyegzaminować tego malca? spytał znowu łacinnik posiadający cienką szyję.

— Moździerznicki!.. czy to warto zachodu? szepnął starzec, odwracając kartkę grubej książki.

— Zapewniam kolegę, że młodzieniec ten nie jest bynajmniej zakutym *maateemaatykiem!*.. rzekł pan

Prjamowski i przechylił się w tył tak gwałtownie, że aż majorowa krzyknęła, prawdopodobnie lękając się, aby ten nagły ruch nie naraził jajowatej głowy zlatynizowanego protektora jej wnuczka.

Rzeczywisty matematyk zzieleniał.

— Aaa... więc zdał z łaciny? mówi jakby do siebie lubownik starych dykcjonarzy.

— Jeszcze nie, ale nie zdał z matematyki,—objaśnił uszczypliwy Prjamowski.

— Jeżeli tak, to co innego! Bądźże kolega łaskaw przesłuchać go z łaciny. To powiedziawszy pan Gamadeltowicz znowu odwrócił kartkę.

— No... Moździerznicki!.. rzekł łacinnik, ustawiwszy, po kilku mniej szczęśliwych próbach, swoją fenomenalną głowę w położeniu normalnem. Niech mi też Moździerznicki powie *perfectum* od słowa *plico*?

Nastąpiła cisza tak głęboka, żeśmy usłyszeli łoskot serca majorowej i cichy szept pochylonego nad dykcjonarzem greka:

— *Plicui* albo *plicari*...

— No... ciągnął egzaminator, a może Moździerznicki powie czasy główne od słowa *fleo*?..

— *Fleo, flevi, fletum, flere*,—mruczy znowu grek, powtórnie wyręczając Socia, który, ku najwyższemu zdumieniu obecnych i przerażeniu babki, zamiast korzystać z mimowolnych podpowiadań starca, zabrał się już do rozpinania szelek.

— Sociu! co ty robisz? jękła zdesperowana starszka, nie mogąc widocznie pogodzić się z tak dzi-

wnem pojmowaniem egzaminu, jakie w jej ukochanym wnuczku wyrobiła długoletnia praktyka. To upomnienie szanownej damy było bardzo na czasie, wpólnieprzytomny bowiem Socio straszliwie się już zaawansował w swoich zagadkowych przygotowaniach...

— Hum... hum!.. chrząka niezadowolony egzaminator. No, a gdyby mi też Moździerznicki wymienił wyjątki na *is* od rodzaju żeńskiego w trzeciej deklinacji?..

— Z tych 32 na *is*, *masculini generis: Panis, piscis, crinis, finis; ignis, lapis, pulvis, cinis...* recytuje machinalnie czcigodny korektor grecko-łacińskiego dykcjonarza. Socio jednak i na to pytanie nie odpowiedział nic, zajęty porządkowaniem swej garderoby, którą w zamyśleniu doprowadził do bardzo oplakanego stanu.

— No, niechże mi przynajmniej powie Moździerznicki, ile jest deklinacji?..

Socio znowu milczał, mając widocznie dużo słuszych powodów do niewydania się z sekretu.

— Co to znaczy? zawołał w tej chwili grek, podnosząc pierwszy raz oczy na Socia. Co to znaczy, że ten chłopiec ani razu nie odezwał się do tej pory?... Więc on nie wie nawet, ile mamy deklinacji? dodał po chwili, jakby z głębokiego snu obudzony.

— On wie, panie dobrodzieju!.. on wiel!.. bo on przecież sześć lat chodził do klas... woła z płaczem



... Pan Gamadeltowicz (str. 78).

majorowa, nie mogąc przypuścić, aby jej ukochany wnuczek o czemśkolwiek nie wiedział.

— Z pewnością nie wie, — pocieszał ją jajogłowy łacinnik.

— Więc poradzcież mi, moi królowie... moi dobrodzieje.. co ja mam robić z tym złoczyńcą?.. lamentowała zrozpaczona babka.

Dwaj filologowie niespokojnie spojrzeli na siebie, a matematyk na końce swoich butów.

— Tak, — przerwał Gadulski, — trzeba dla chłopca koniecznie wymyślić jakiś zawód...

— Do kupca!.. do kupca!.. wtrącił właściciel handlu win i korzeni.

— Już niechby sobie został głupcem, byle pracował i był uczciwym człowiekiem, — dodaje niepocieszona babka.

Trzej kapłani wiedzy ruszyli z miejsc swych jak jeden.

— Ach panowie, odchodźcie już, nie dawszy mi żadnej radeńki?.. Ach, czyż się to godzi?..

— Pani! rzekł jajogłowy łacinnik, biorąc czapkę, — desperować nie ma czego. Ja pani poradzę uczciwie i stanowczo: Kup mu łaćńską gramatykę Kühnera kurs pierwszy i niech się chłopak wyuczy wszystkiego co tam jest. Potem nastąpi kurs drugi, trzeci... aż do szóstego włącznie, — a po tych dopiero można się będzie wziąć do autorów. Jeżeli państwo zrobicie inaczej, postawicie budynek bez fundamentów!.. To powiedziawszy wyszedł.

— Radzę na początek gramatykę grecką jakąkolwiek i wypisy Jacobsa ze słownikiem!.. szepnął półgłosem grek i ściskając swój podarty dykcjonarz, ostrożnie wysunął się za kolegą,

— A pan, panie profesorze, nie dasz nam jakiegokolwiek konsultacji?.. spytał płaczącym głosem Gadulski wychodzącego za innemi matematyka.

— Ta pani umie więcej odemnie, bo jej mąż był majorem 5-go pułku piechoty!.. mruknął zgryźliwy aparat do rachowania i uciekł.

— A co? rzekł kupiec, — czy nie mówiłem, że to wino, że ta lura od Goldszwajna sprowadzi na nas nieszczęście? Po co było brać u żydów, kiedy się ma katolika i uczciwego człowieka pod bokiem?

— Ach ty zbrodniarzu!.. ach rostopyrzu!.. Belzebubie jakiś!.. Co ty mnie zdrowia kosztujesz? ile ty mi wstydu robisz?.. wołała ciężko strapiona wdowa do swego ukochanego wnuczka.

— Ale!.. a cóż ja temu winien, że babcia od żydów wino bierze, że babcia taka skąpa?.. odparł zuchwały hebes, koronując tem niejako swoje egzaminacyjne sukcesy.

— Wiesz pułkowniku, — szepnął domyślny Gadulski, — że jak żyję, takem nie widział jeszcze podobnego osła!..

— Bagatel!.. mruknąłem, nie chcąc czernić faworyta mojej szanownej przyjaciołki.

— W tej chwili doniesiono, że do hotelu zajechał Kuba z Mruczkiem i Postępowiczem.

ROZDZIAŁ VIII.

Okazujący w jaki sposób Socio obudził, a niewidzialny przyjaciel ciężko zirytował babunię.

Dopiero około północy, — pożegnawszy dwu pozostałych gości i przyrzekłszy zacnemu Gadulskiemu, że odtąd tylko u niego odbywać się będą posiedzenia rad familijnych, — ulokowaliśmy Postępowicza w jakiejś stancyjce na górze, i sami zabraliśmy się do spania.

— Ach pułkowniku! mówiła majorowa, — nabij serce fuzją, żeby nas czasem złoczyńcy nie pomordowali... Jaki to zacny człowiek ten Gadulsio, — no, i Pieprzkowski niczego, choć zdaje mi się, że nie szlachcic... Sociu rybeńko! mów pacierz i kładź się spać... Patrzaj się, to ten staruszczek uczył jeszcze mego Ksawcia, a jak go doskonale zapamiętał! Ten... ten jakże go ta m?.. Aha!.. Gamajdowski...

— Gamadeltowicz,—poprawiłem staruszkę.

— Nie wymówiłabym nigdy takiego nazwiska.— Jakże tobie się zdaje, to niezły musi być starowina? choć Pieprzkowski gadał, że on już trochę durnowaty. Ten drugi, daleko przytomniejszy, choć ma biedactwo głowę zabawną;—pewnie, jak był mały, musiała go niańka z rąk wypuścić. Jak to on się zwał?.. Pryszczkiewicz, czy jak?..

— Prjamowski,—wtrąciłem.

— Aha, tak... tak!.. Dziwne mają nazwiska ci

uczeni ludzie, choć sami co prawda jeszcze dziwniejsi. A czy można wejść do ciebie?

— Po co, kochana majorowo? zapytałem, przeklinając w duchu takie urządzenie hotelów, które pozwala mieszkańcom numeru pierwszego kombinować się z lokatorami drugiego.

— Chciałam wziąć od ciebie jedno krzeselko na złodziejów...

— Chyba dla złodziejów,—przerwałem. Miałażbyś zamiar, kochana przyjaciołko, prosić ich, ażeby siedząc kradli?..

— Ehl.. przecież taka znowu głupia nie jestem. Ja, widzisz, mam zwyczaj stawiać przed oknem stołki, jeden na drugim, do góry nogami tak, że gdyby złodziej laźł tamtędy, toby krzesła rozwalił i wszystkich, choćby najtwardziej śpiących—obudził.

— Aha! rzekłem, najzupełniej przekonany o skuteczności tego domowego środka przeciw ospalcom. No, ale co zrobisz kochana pani, jeżeli złodziejowi przyjdzie fantazja wleźć drzwiami?

— Niechże Bóg bronil! zawołała ze zgrozą nerwowa dama. Ach, bodaj cię serce... całą noc spać nie będę mogła!

— Uspokój się jejmość,—rzekłem, serdecznie załużąc niewinnego pytania. Śpij spokojnie, nikt tu nie wejdzie. Dobranoc...

— Dobranoc ci, sokole mój! szepnęła może z nadto tkliwym głosem znużona staruszka, i, nastąpiła cisza.

Teraz dopiero usłyszałem, że, pod trzecim numerem, przy ścianie, obok której znajdowała się moja pościel, nocuje ktoś. Zgrzyt starego hotelowego łóżka i potężne chrapanie połączone z lekkim pogwizdywaniem, nasunęły mi myśl, że sąsiad musi być człowiekiem niepospolitej budowy.

— Babciu, ja chcę sznurka! zawołał nagle Soterek.

— Daj mi pokój... Weź sobie z koszałki... mruknęła rozespana babka, przewracając się na drugi bok.

Wyobrażam sobie, jak wiele ucierpiałyby dokładność niniejszego opowiadania, gdybym w tem miejscu nie dodał, że naprzeciwko okien naszych numerów, po drugiej stronie ulicy, znajdował się szynk, na którego szyldzie wymalowano strusia. Bez podpisu, trudno zaiste byłoby się domyślić, że ten straszliwy ptak, z głową krokodyla, dźwigający na grzbiecie Kupidyna z naciągniętym łukiem, ma imitować niewinnego dostarczyciela piór, używanych przez barbarzyńców do ubierania koni, a przez ludy ucywilizowane — na ozdobę piękniejszej połowy naszego gatunku.

Nie wiem z jakiej racji, łagodny oddech majorowej i energiczne chrapanie mego sąsiada Nr. 3, przywiodły mi na myśl owe potworne malowidło; trudno jednak zaprzeczyć, że, od kilku chwil, ptak zdobiący wejście do szynku, stał przed oczyma mej duszy. Źle mówię, że stał: On się ruszał, on pędził wprost

na mnie z całą chyżością nóg patykowatych, coraz szerzej rozdziawiając ohydną paszczę... Słyszałem świst jego skrzydeł i widziałem z przestraczem, że siedzący na jego grzbiecie nagi Kupidyn, strzałą podobną do bretnala, godzi prosto w moje serce, a co gorsza, patrzy mi w oczy z jakimś niesłychanie lubieżnym i bezczelnym uśmiechem.

Wtedy zdało mi się, że jedna z otaczających strusia malowanych butelek przybiera postać nieustannie tracącego równowagę celnika; że kufel przemienia się w gospodarza hotelu, a okseft w moją poważną przyjaciółkę. Włosy stanęły mi dębem, gdym dostrzegł, że stara dama ma na sobie welon oblubienicy, i, gdy nadto, jakiś głos wewnętrzny począł mi dowodzić, że nietrzeźwy poborca kopytkowego i uprzejmy właściciel zajazdu, są drużbami podeszłej panny młodej, która patrzyła na mnie z czułością, zdolną raz na zawsze usunąć z medycyny emetyk i podobne do niego preparaty.

W tem rrrruum!.. rrum!.. rozległ się straszliwy łoskot... Nie wiedziałem gdzie jestem...

— Jezus!.. Marja!.. aux armes!.. do bronii!.. odezwał się głos kobiety dobrze mi znany jeszcze z epoki wojen napoleońskich.

— Alarm!.. zawołałem, zrywając się na równe nogi. Szpadę!.. konia!.. Oficerowie na swoje miejsca!.. Sygnał do ataku!.. komenderowałem w półśnie, sądząc, że mój oddział ze wszech stron otoczono.

— Bataljon... do ataku broń!.. Biegiem maaarsz!.. Vive l'empereur!.. ryknął tubalnym głosem mój sąsiad Nr. 3, w którym poznałem ex-majora Byczkowskiego, sławnego na całą dywizję, a następnie na cały powiat z niesłychanej tuszy.

— Chi! chi! chi!.. chichotał rozpustny Soterek, tarzając się po łóżku.

— Pułkownik serce, a zapal świecę, bo zdaje się, że złodziej wszedł!.. jęczy na dobre już obudzona moja nerwowa przyjaciółka.

W okamgnieniu zapalam świecę, wchodzę do pokoju majorowej i widzę rozwalone krzesła, tudzież niezmiernie zadowolonego Socia ze sznurkiem w ręku. Ale złodzieja nigdzie ani śladu...

— Co ty sobie myślisz hultaju? krzyknąłem na niedobrego zbytnika. To chce ci się babkę straszyć?.. po nocy figle płać i cały hotel budzić?.. Ja ci!...

— Jak pragnę zbawienia duszy, — mówi trochę już uspokojona staruszka — takim zrazu myślała, że jesteśny z Grzesiem tam w tej wsi pod Moguncją, gdzie to nasz oddział prusacy napadli... Pamiętasz serce?..

— O do stu fur beczek bataljonów djabłów!.. odzywa się sąsiad Nr. 3. Co wy tam wyrabiacie?.. ciury!.. marudery!.. psie ogony!.. O saperment!..

— Uspokój się Bysiu... Byczkosiu!.. to jestem ja, z majorową Moździerznicą, której wnuk nicpoń stołki przewrócił i takiego nam strachu napędził,— uspakajam impetycznego sąsiada.

— Aha!.. to ty pułkowniku?.. Ja też usłyszawszy rumot i komendę, myślałem, bodaj mnie pierwsza kula nie minęła, że to alarm... Tfy, do stu prusaków, także mi się przypomniało, — mruczał już udobruchany kolega. A cóż wy robicie w tym kurniku ze starą?

— Przywieźliśmy Socia Moździerznickiego,—odpowiadam. Imaginuj sobie Bysiu, że już nie wiemy co z tym paliwodą robić!..

— Cóż to, uczyć się nie chce?..

— I uczyć się nie chce i psie figle nieustannie stroi, a wyrostek już prawie pod wąsem. Naradzamy się tu z rozmaitymi ludźmi, ale jakoś nam nie idzie.

— Aaa!.. przerywa Byczkowski. Szkoda, że ja o świecie muszę wyjechać. W każdym jednak razie poszukaj tu w mieście starego emeryta Batoźnickiego; on wam poradzi, bo to tęgi chłop, bodaj mnie rozerwał!..

— Bóg zapłać za dobrą radę — rzekłem. Pójdziemy tam jutro, a tymczasem życzę ci szczęśliwej podróży i dobrej nocy.

— Dobranoc!.. huknął major, ciężko upadając na posłanie.

— Patrzaj serce, — odzywa się moja przyjaciółka,—to i ten poczciwy Byczkowski tu zajechał?.. Pamiętam go, pamiętam!.. tęgi to był żołnierz, choć z prostej klasy. Smalił on do mnie cholewki razem z Grzesiem nieboszczykiem...

— Ale, ale... woła znowu sąsiad Nr. 3. A czyś się czasem nie ożenił pułkownika z tą landarą, że za jej interesami jeździsz?...

— Boże uchowaj! — odparłem, mocno zgorzony nadaniem tak nieprzyzwoitego nazwiska mojej przyjaciółce.

— Myślałem!.. Nie zrobię tego głupstwa komendancie, bo bym cię okrutnie wyśmiał. Przed stu laty Grzesiowa była sobie niczegowatą babiną, ale dziś — czysta ropucha!.. bodaj mi ręce i nogi połażało...

— Ach ty chmyzie jakiś!... ty byku obrzydły!... woła do najwyższego stopnia oburzona majorowa.— Ropucha?..., widzisz go, jaki ładny mężczyzna!... I z kąd jemu do tego łysego łba takie głupstwa przychodzą?..

— W starym piecu djabeł pali!.. zaryczał z nieprzystojnym śmiechem nasz wspólny przyjaciel. Dobranoc staruchol.. a nie wybieraj się za mąż, bo jak cię zaczną wieść do ślubu, to się na próchno rozsypiesz!..

— Ty chłystku niegodny!.. ty cały pułk kompromitujesz!.. wrzasnęła zirytowana dama. Uuu... to chłopisko jakiś... Każdy z nich myślał sobie, że damy to tak się bierze jak armaty... A może ci się zdaje, żebym za ciebie teraz wyszła, ty grubasie obmierzły!.. Oho, — toś trafił!.. Wołałabym, żeby się na mnie ten hotel zawalił. Pułkownik to zupełnie co innego, zaraz znać szlacheć!..

W tej chwili przywidziało mi się, że ostatnie słowa majorowej są jednym z owych bretnali, które, zamiast strzał, ciskał niemoralny Kupidło siedzący na malowanym strusiu.

ROZDZIAŁ IX.

Z którego pokazuje się, jak szkodliwymi dla cywilizacji są krytycy i wydawcy.

Stosownie do porady otyłego majora, który swym lekceważeniem płci pięknej, tyle przykrości narobił zacnej przyjaciółce, postanowiliśmy około południa złożyć wizytę emerytowi Batożnickiemu. Była dopiero godzina 9-ta rano, nie mając więc nic lepszego do zrobienia, a pragnąc zabić czas jakimkolwiek bądź sposobem, począłem czytać najświeższe numery pism prenumerowanych przez miłującego krajową oświatę gospodarza hotelu.

W jednej z gazet (pomijam tytuł, nie chcąc jej redaktorów pozbawiać kawałka chleba), wpadła mi w oko trzyszpaltowa filipika, wymierzona przeciw ostatniemu objawowi literackiej działalności pana Postępowicza... Tak jest, powtarzam z zupełną przytomnością, przy najlepszym zdrowiu wszystkich władz ciała i duszy mojej, że w gazecie tej wydrukowano, zbesztano, sponiewierano, odsądzono od czci i wiary pana Cezara, Brutusa, Napoleona, Hijacynta Postępowicza,—dziwiąc się przede wszystkim, że tak mło-

dy i tak mało obiecujący autor, na tak nędznej racji (jaką niby miała być ostatnia jego praca), mógł podpisać swoje nazwisko i ozdobić je aż czterema imionami: „z których autor (przytaczam słowa recenzenta) powinien był przynajmniej trzech pierwszych wyrzec się w swoich debiutach literackich, jeżeli nie chce uchodzić za wroga wszystkiego, co dla ludzi jest wielkiem i podziwu godnem!..“

Jezus! Marja... jak żyję nie czytałem artykułu napisanego z mniejszem uszanowaniem dla osoby, do której był zwrócony. Jako?.. więc istotnie p. C. B. N. H. P. ma być: „nędznym stylistą“, człowiekiem: „który zapomniał najprostszycych prawideł zdrowego rozsądku, a nie nauczył się najelementarniejszych zasad ekonomji politycznej?..“ Jako, więc znakomity wynalazca nowej metody pedagogicznej, miałby być: *blagierem*, który nie potrafi nawet korzystać z gazeciarskich doniesień o najnowszych wynalazkach?...“ Więc ten młody i pełen nadziei publicysta, który zdecydował się porzucić swoje, tak zapewne szkodliwe dla ogólnych interesów, incognito, i wystąpił nareszcie z podniesioną przyłbicą w szranki dziennikarskich zapasów, ma być: „lichym pismakiem, kompromitującym organ, który dał przytułek jego jeszcze niedojrzałym a już spróchniałym pomysłom?...“

Wyznaję, że gdyby ktoś chciał na słowo uwierzyć niesumiennemu prawdopodobnie krytykowi uczonego Hijacynta, musiałby tem samem przypuścić, że utalentowany nauczyciel Socia nie jest ani ekonomistą,

ani moralistą, ani pedagogiem, ani astronomem, ani filantropem, krótko mówiąc, niczem, — co przecież najzupełniej sprzeciwiałoby się opinji, jaką w tej kwestji miałem ja, majorowa, jej wnuczek, mój ekonom, mój karbowy, mój sadownik, furman majorowej, gospodarz hotelu, — i co wreszcie gwałciłoby jak najwyraźniejsze i jak najbardziej stanowcze świadectwa samego Postępowicza.

Szczyściem, że ja, — jakkolwiek członek ospałej, zacofanej próżniaczej, pełnej rutyny i zgnilizny klasy szlacheckiej, — wiedziałem trochę o partjach w warszawskiej a więc i europejskiej prasie i słyszałem, że pisma perjodyczne (ze względów niezależnych od ich redakcyj) piszą niejednokrotnie to o czem nie myślą i myślą to o czem nie piszą, co, jak mnie zapewniano, ma nader zbawiennie wpływać na rozwój umysłowy naszego niedojrzałego i pogrążonego w barbarzyństwie ogółu. Otóż, przy pomocy dwu powyższych aksjomatów, z największą łatwością odgadłem, że uszczypliwy recenzent należy do obozu przeciwnego gienjalnemu Postępowiczowi, że sam umie bardzo mało, że lękając się nowego współzawodnika, stara się ośmieszyć i podkopać nieznane mi, lecz prawdopodobnie bardzo wzniosłe i pożyteczne doktryny, na których zapewne samby się chętnie podpisał, gdyby mu tylko pozwolono. Dzięki tym uwagom, niewinnie prześladowany publicysta nie tylko że nie stracił, ale nawet bardzo wiele zyskał w mojej opinji, jako człowiek, który walczył za prawdę i przed którym pra-

wdopodobnie drżała pewna część organów umysłowego życia naszej niemowlęcej społeczności.

Filozofowie wszystkich części świata jednozgodnie utrzymują, że tylko w ich towarzystwie spędza się czas z intelektualnym i moralnym pożytkiem;—a ponieważ niesumienny krytyk nazwał Postępowicza płytkim filozofem, było więc aż nazbyt widoczne, że utalentowany przewodnik Soterka należał do szczupłej garstki tych ludzi, których towarzystwa, wszelkimi byle godziwymi i przez prawo uznanymi środkami, poszukiwać jesteśmy obowiązani. Nie dziw więc, że zachęcony temi uwagami, nie czytając nawet w gazecie Ostatnich Politycznych Wiadomości, — których opuszczenie przez pp. Thiersa lub Bismarka mogłoby wywołać najsmutniejsze zawikłania w polityce europejskiej,—pobiegłem na górę do stacyjki znakomitego literata, aby pod pozorem troskliwości o jego zdrowie, zaczerpnąć nieco światła, a zarazem przekonać się, jak też wygląda człowiek, którego nazwisko niechętny krytyk włożył w tysiące ust współczesnych i przekazał najodleglejszej potomności.

Dwucalowe zęby mego łańcuchowego psa Grzmisia i djalektyczne kły gazeciarskiego recenzenta, wywarły oplakane skutki na fizyczny i duchowy organizm rozgłośnego literata. Leżąc wyciągnięty jak struna, piersiami (zapewne dla względów patologicznych) zwrócony do pościeli, znakomity chory był podobniejszym do ucznia, na którym w tej chwili dokonywają się pewne formalności pedagogiczno-karne,

niż douczonego, któremu ludzkość zawdzięczała nowo-wynaleziony i do dni naszych nieznan system wychowawczy. Na chudej i bladej twarzy pomysłowego Hijacynta malował się taki ogrom bóleści, że się począł na serjo obawiać, aby spruchniały hotelowy sprzęt bardzo dobrze naśladowujący łożko, pod tak niezwykłym ciężarem nie przyjął formy kilku desek powiązanych sznurami i opartych na dwu relegowanych z kuchni stołkach.

— A to hultaj jakiś!.. krzyknąłem, wchodząc do p. Hijacynta. To panu dobrodziejowi wyzło... chciałem powiedzieć: a to pana urządził wobec tylu nieznanym osób...

— Szlachecki łeb!.. odparł z goryczą pełen demokratycznych instynktów literat. Po baranach z tej rasy wszystkiego spodziewać się można.

— Patrz pan dobrodziej, więc on szlachcic?.. zapytałem trochę zdziwiony.

— Przecie pułkownik lepiej odemnie wiesz, że wszyscy Moździerzniccy są szlachtą jeszcze od Stefana Batorego,—odparł również zdziwiony pedagog.

— Eee!.. to pan dobrodziej myślisz o wczorajszym egzaminie Soterka?.. spytałem znowu.

— Naturalnie, że tak!.. A pułkownik o czym myślisz?.. rzekł trochę zmieszany publicysta.

— No, ja chciałem mówić o krytyku, co to panu dobrodziejowi w gazecie takie cię..... chciałem powiedzieć, takie rzeczy popisał...

— Więc pan czytał?.. bąknął biały jak chusta literat.

— Czytałem, czytałem!.. i właśnie przychodzę powiedzieć panu, że nic a nic nie wierzę temu chłystkowi.

— Aach, — szepnął stroskany publicysta, — pan nie uwierzysz, ale miliony uwierzą!.. Mówiąc to, miał zapewne na myśli tutejszokrajowych czytelników gazety i ich przyszłych potomków; nie przypuszczam bowiem, aby sądził, że niemcy, francuzi, anglicy i inni obcokrajowcy zechcą zwracać uwagę na miejscowe sprawy naszych pism politycznych.

— Uspokój się kochany panie Hijacynciel!..

— Nie nazywaj mnie pan Hijacyntem, ale Brutusem, — odparł urażony chory. Brutus — najlepiej zgadza się z mojem usposobieniem i... położeniem!..

Jakkolwiek nie słyszałem, aby jaki Brutus bawił się w guwernerkę, był kąsany przez psy, wpędzony przez nie na wierzch lipy, a w końcu publicznie zmartwiony przez rzymskie gazety, uznałem jednak słuszność młodego uczonego i rzekłem:

— Owszem, owszem... drogi panie Hijacynciel!.. Odtąd będę cię nazywał Brutusem, ale pod warunkiem: abyś tak mężnie, jak on, znosił wszelkie przeciwności...

— Są chwile, — mówił szlachetny imiennik niešťczęśliwego mordercy Cezara, — są chwile, w których człowiek musi się uznać zwyciężonym w olbrzymiej walce z losem. Chwila taka wybiła dla Cezara

wówczas kiedy go otoczyli spiskowi, — dla Napoleona wówczas gdy wstąpił na okręt angielski, — dla Brutusa wówczas gdy przegrawszy bitwę pod... pod...

— Wszystko jedno, kochany panie Hija... to jest Brutusie, — przerwałem, chcąc usunąć mnemoniczne trudności jakich doświadczają zapewne wszyscy literaci, przypominając sobie historję panowania Oktawjana Augusta, a prawdopodobnie i każdą inną.

— Chwila taka wybiła dla Brutusa, ciągnął niespracowany mówca, wówczas gdy ten przegrawszy bitwę... odebrał sobie życie... Chwila taka wybiła dla mnie dziś, kiedy po tysiącznych zawodach, po nadludzkich wysileniach z mojej strony, nieznany wróg targnął się na moją sławę... na mój honor...

Boleść zaciemniała widocznie jasny zazwyczaj umysł wynalazcy nowej metody wychowania: o ile bowiem przypominam sobie, to gazeciarz nie wątpił ani na chwilę o prawości i dobrem sercu Postępowicza, lecz tylko nie chciał żadną miarą zaufać jego erudycji, zdrowemu rozsądkowi, stylowi i innym drobnostkom, bez których można przecież żyć i nie mieć zatargów ani z sądem kryminalnym ani nawet z władzami policyjnymi.

— Cóż tedy myślisz począć kochany panie Brutusie?.. zapytałem gienijałnego desperata.

— Myślę naśladować mego imiennika po przegranej bitwie, szepnął melancholiczny Hijacynt, smutnie uśmiechając się do starych hotelowych wieszadeł.

— Mimowoli rzuciłem okiem na ten użyteczny

sprzet pokojowy, zapytując czy Brutus istotnie powiesił się przegrawszy bitwę i czy zaledwie przylepione do ściany wieszadło, utrzyma na sobie tak wielkiego człowieka jakim był niewątpliwie zniechęcony do świata literat?

— No, no, no!.. kochany panie Brutusie, nie desperuj!.. Jeszcze się nie jedno zmieni na świecie, jeszcze i acan dobrodziej znajdziesz między krytykami przyjaciół!..

— Nigdy!.. nigdy!.. jęczał niepocieszony Hijacynt. Kogo los przesładuje, ten wieki będzie żył i wieki będzie cierpiał... Lepiej raz skończyć!..

Ludzie zmaterializowani i interesowni gotowiby przypuszczać, że, po tym melancholicznym wstępie, głośny publicysta zaproponuje mi, abym mu udzielił skromną pożyczkę na wydatki bieżące. Najenergiczniej protestuję przeciw tak fałszywemu wykładowi rozpaczy literackiej, rozpaczy — której często ulegają umysły wyższe i która staje się niejednokrotnie źródłem faktów bardzo korzystnych dla ogólnego dobra.

— Kpij pan z losu, kochany panie Brutusie!.. miej nadzieję!.. nie trać wiary... zachęcałem dobrego Hijacynta, sam nie wiedząc w co mianowicie wierzyć powinien tak szkaradnie opublikowany literat.

— Pułkowniku!.. rzekł szlachetny Brutus tonem bardzo uroczystym. Nie dziwię się, że pan pragniesz mnie pocieszyć, jako człowiek miłujący dobro ogólne! Lecz wierz mi, że są jednostki, nad którymi cięży

jakaś straszliwa fatalność, nad któremi, że tak powiem, los znęca się i pastwi niby okrutny tyran nad bezbronnyim nieprzyjacielem. W tej chwili widzisz pan przed sobą jedną z ofiar tajemnych a wrogich ludzkości potęg; — aby zaś pana przekonać o tem, opowiem ci historję moich literackich pomysłów...

Teraz—nie ulegało już wątpliwości, że utalentowany Hijacynt robi mię powiernikiem swoich interesujących cierpień. Milcząc, wyjąłem bawełnę z uszu, pedagog zaś owinąwszy się w podartą kołdrę, zaczął:

— Słuchaj pan!..

Naturalnie zem słucał.

— Będąc w klasie czwartej, napisałem artykuł o zamieszkalności planet i posłałem go do Warszawy. Nie jestem zarozumiałym, wyznać jednak muszę, że nawet dziś śmiało na tej pracy położyłbym swoje nazwisko. Krytycy jednak czy też wydawcy odrzucili ją, a w parę lat później wyszła książka Flammariona, w której słowo w słowo znajdowało się to samo co u mnie!.. Powiedz pułkowniku, czy godziło się pozwolić, aby nas cudzoziemiec tak haniebnie w kąć zapędził?..

— Naturalnie, że nie godziło się,—odparłem, głęboko przekonany, że jakiś tam Flammarion bardzo wiele skorzystać musiał z gruntownej pracy mego młodego i gienijalnego przyjaciela.

— W klasie szóstej napisałem pierwszy traktat o emancypacji kobiet, który mi zarzucono w redakcji. Tego samego roku dowiedziałem się z gazet,

że cała Europa zajmuje się tylko emancypacją... Oto drugie nieszczęście dla mnie, druga klęska dla naszej literatury!..

Ani na chwilę nie wątpiłem, że między zagubieniem cennej pracy literata i podniesieniem kwestji usamowolnienia kobiet, zachodzi bardzo ścisły związek.

— W klasie siódmej, ciągnął pomysłowy Brutus, wynalazłem nową metodę pedagogiczną i streściłem ją w dwóch artykułach, które w tym roku dopiero p u blikowano; — tymczasem niemiec Froebel już od świętej pamięci ogłosił ją i jako swój wynalazek w wykonanie wprowadził!..

— Nie żdziwiłem się, — dla nikogo bowiem nie jest tajemnicą, że cudzoziemcy przywłaszczają sobie bardzo wiele naszych pomysłów

— Będąc na pierwszym kursie napisałem o stowarzyszeniach, czego podówczas nie przyjęto, a czem dziś zajmuje się cała nasza prasa perjodyczna. Później kiedy mnie... to jest po tem... wpadłem na myśl zakładania tanich kuchen, które obecnie istnieją we wszystkich większych miastach.... A teraz powiedz pan, zawołał z podwyższoną energją literat o szczupłej kompleksji, czy to nie jest nieszczęściem patrzeć na marnowanie się własnych, tak pięknych i tyle dobrego przynieść mogących pomysłów?..

— Zapewne!.. potwierdziłem, dziwiąc się złościwości losu, który pozwolił ludziom wierzyć w zamieszkalność planet, emancypować kobiety, uczyć według nowych metod dzieci, zakładać tanie kuchnie

i stowarzyszenia ekonomiczne,— a tak głęboką tajemnicą okrył imię człowieka, który nadał impuls tylu nowym rzeczom, lub dawne z korzyścią dla gatunku ludzkiego zreformował.

— Przed kilkoma miesiącami, ciągnął znakomity publicysta, posłałem do Warszawy artykuł... artykuł formą i treścią przewyższający wszystko co napisałem dotąd. Przeczytasz go pan i osądzisz: obejmuje on 652 wierszy druku, 18 cytat z filozofów, ekonomistów, techników i innych; jest w nim 4 ustępy rymowane, parę uwag treści moralnej i kilka malowniczych opisów różnych miejscowości na kuli ziemskiej... Za to, krytyka ofiarowała mi wieniec męczeński, a wydawca.... zgadnij też Pan co?..

— Zapewne coś bardzo kosztownego!.. rzekłem sądząc, że wielki publicysta w nagrodę niespożytej wartości prac swoich otrzymał kamienicę, folwark, kawał lasu, albo przynajmniej plac pod zabudowania.

— Trzy ruble, dwadzieścia sześć kopiejek... po groszu od wiersza!.. wyszeptał wielki uczoney przez zaciśnięte zęby i upadł na sprzęt pełniący obowiązek łóżka, znowu twarzą do pościeli. Ażem podskoczył na krześle...

— Jak to?.. i pan dobrodziej przyjąłeś taką sumę?.. I pan dobrodziej nie cisnąłeś im jej w oczy?..

— Panie! wyrzekł zrozpaczony Postępowicz, kwotę tę odebrałem dziś z tutejszej księgarni, nie mogłem więc zrobić z nią tak jak pan mówisz. Przy tem... ponieważ w nadziei honorarjum nie odłożyłem

sobie nic z 30 rubli, które dostałem za wakacje, dziś więc... to jest w chwili obecnej znajduję się w bardzo... tak... w bardzo krytycznym położeniu....

— Ach ci krytycy!.. ach ci wydawcy!.. mordercy!.. kajdaniarze!.. jęknąłem obejmując głowę i zasłaniając uszy rękami, aby nie słyszyć już tej części zwierzeń publicysty, którą po głębszym namyśle pragnąłby zapewne zachować w tajemnicy.

— Z tych powodów, począł znowu pedagog, chciałbym... to jest miałbym do szanownego pana małą prośbę....

— Rozumiem!.. zawołałem. Chcesz pan krytyka i wydawcę wyzwać na pistolety?...

— Przeciwnie!.. przerwał zakłopotany Hijacynt. Chodzi tu o kombinację natury finansowej....

— Pułkowniku!.. pułkowniku!.. zawołała z korytarza majorowa. A chodź serce, bo się do Batożnickiego spóźnimy!..

Wybiegłem śpiesznie, pamiętając, że w chwili obecnej, winienem się zajmować głównie zabezpieczeniem przyszłości przedwcześnie osieroconego Soterka.

ROZDZIAŁ X.

Na zasadzie którego zwątpićby można o włosach majorowej i o wartości systemu dziesiętnej dla pedagogiki.

Emeryt Batożnicki mieszkał za miastem, zdaleka od ludzi, którzy nie ocenili należycie metody wynalezionej i niez mordowanie stosowanej przez nie-

go w ciągu 30-to letniej nauczycielskiej praktyki. Szczupła tylko garstka zaufanych osób miała wstęp do pustelni wielkiego abnegata, dokąd właśnie szliśmy procesjonalnym krokiem: ja, majorowa i jej mało rozwinięty wnuczek.

— Sociu serce! moralizowała staruszka, nie stawaj przed oknami, wyjmij rękę z kieszeni i palec z nosa... Ach, moja doleńko nieszczęśliwa!... taż nie wybiegaj na środek ty chmyzie, żeby cię nie rozjechali!.. Ot, patrzaj go... znowu psa zaczepił!.. Czy ty rostopyrzu niegodny chcesz koniecznie guza?.. Ach zbrodniarzu!.. ach złoczyńco!.. i po co ty żydka potrąciłeś? Ty myślisz sobie, że żydzi to już nie boskie stworzenia? I cóż on winien, że jego pradziadkowie ukrzyżowali pana Jezusa i że już nigdy nie zostanie szlachcicem? Co też ja gadam... W tych czasach wszystko idzie na wspak, bo już przecie nie jeden żyd został austrijackim rycerem, a nawet baronem i hrabią... Takie to i hrabiostwo, nie oddałabym za niego pary zdartych trzewików!..

Pozwolę się nazwać chłystkiem, a nawet literatem temu, kto mi dowiedzie, że do najeżonej głowy Soterka przylgnęła choć tysięczna część tych pięknych i uczących medytacji, które czcigodna babka jego tak hojnie rozsypywała na bajecznie wązkim asfaltowym chodniku ulicy Mydlanej. Roztargniony chłopiec robił co chciał ze swemi rękami i nogami i więcej niewątpliwie interesowały go grajcarowate pejsy

zydków, lub brudne watówki ich połowic, niż wszystkie uwagi majorowej wypowiedziane na temat upadku klas uprzywilejowanych.

— Babciu!.. babciu!.. przemówił nagle Soterek, — a ot te zęby to muszą być chyba z jakiego wielkoluda. To mówiąc ukazywał obydwoma rękami na olbrzymią drewnianą szczękę, symbol dentysty zawieszony obok perukarskiego sklepiku.

— Ach jaki ty głupi Sociu!.. zawołała z nieukontentowaniem staruszka; widzisz przecie, że tutaj zęby reperują.... Pułkownikowi serce, stańmy na chwilkę!.. i, to powiedziawszy pociągnęła mnie do wystawki perukarskiej.

— Cóż to za jeden ten ogon babciu? spytał znowu wnuczek wskazując na szynion.

— Eh!.. to taki chwast do ubrania dla dam!.. objaśniła babunia.

— A tenże kołtun do czego? dodał Soterek patrząc na kok nowomodny, arcydzieło prowincjonalnego kunsztu.

— Wysławiasz się Sociu gorzej jak pastuch, gorzej jak podpasicz!... przerwała mu babka, z godnością poprawiając kokardę u swego czepka. Nie mówi się przecież kołtun tylko plika!.. Gdyby nas kto podsłuchał, mógłby pomyśleć żeśmy z ordynaryjnej klasy i że się na niczem nie znamy....

— A ot te włosy to już chyba z nieboszczyków, odezwał się znowu niezmiészany pupil. Czort wie,

ktoby sobie kładł na łeb czuprynę z trupa... Tfy maskara!..

— Milcz potworze!.. przerwała muzyrutowana babka, odstępując od okna i ciągnąc mnie na chodnik. Patrzajcie się ludzie!.. taki smarkacz będzie swoje zdanie wypowiadał o ubiorach damskich, — ni pytany, ni proszony?.. A wiesz ty nietoperzu, że za dawnych czasów wszystkie panie i panowie peruki nosili i zęby wprawiane też?.. Ja bardzom kontenta, że się dawne mody powracają, — bo to nieraz człowiek ma rzadkie włosy, no... i zęby niemocne swoje... choć nawet nie tak bardzo jest w wieku podeszłym...

— Czy masz zamiar, kochana majorowo, nabyć perukę?.. spytałem moją przyjaciółkę, bacznie przypatrując się jej bufiastemu czepcowi, pod którym najbardziej imaginacyjny człowiek nie domyśliłby się ani jednego włosa.

— Ech nie wiem jeszcze!.. Mnie tego nie potrzeba... Tylko... jeżeli już taka moda nastąpi, żeby damy koniecznie nosiły peruki, to po cóż się wyróżniać? bąkała trochę zakłopotana staruszka. Ty pułkowniku serce wolisz blondynki czy brunetki? zapytała po chwili.

— Sądzę, kochana majorowo,— odpowiedziałem, że jeżeli już koniecznie zachciewa ci się fryzjerskich dodatków, to wybierz przynajmniej włosy takiego koloru jak twoje, nie oglądając się na gust obcych....

— Kiedy bo ja już nie pamiętam nawet jakie miałam!... odparła podeszła dama. Widocznie je-

dnak zaszkodził biedaczce frazes ten w pośpiechu uro-
niony,— nagle bowiem dostała gwałtownego kaszlu
i poczęła robić gorzkie, lecz zapewne słuszne wymów-
ki swemu niepoprawnemu wnukowi, z okazji błędu,
jaki fenomenalny ten chłopiec jeszcze przed kilkoma
dniami popełnił.

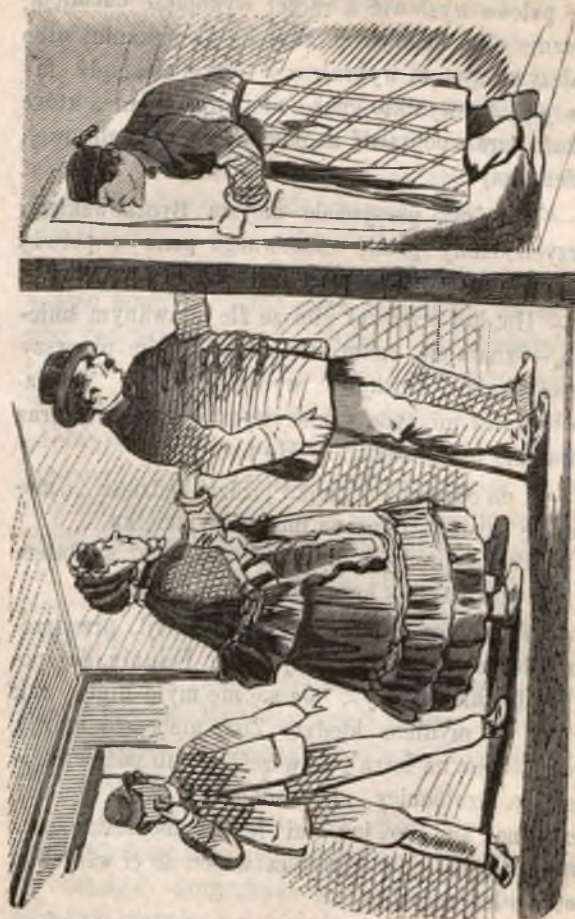
Jako człowiek ucywilizowany, starałem się nie-
zwracać uwagi na zakłopotanie interesującej damy
i zarazem gniew jej łagodzić, — co zresztą przyszło
mi bardzo łatwo, ponieważ w tej samej chwili weszli-
śmy do sieni domu, w którym mieszkał znakomity
emeryt.

— Ach nieszczęście, odezwała się już na inny te-
mat staruszka, a może to nie tu?.. a może nie zasta-
niemy go?.. Sociu serce, nie zapomnij ładnie ukło-
nić się jak wejdiesz, a jeżeli nam co poradzi, to go
w ramię pocałuj... Ach jak ja się boję!..

Ująłem klamkę, pragnąc uchylić drzwi, za któ-
remi ukrywał się pedagogiczny świecznik, — ale
pokój był zamknięty. Nic mi więc nie pozostawało
jak tylko zapukać, co też wykonałem, usiłując (o ile
to było możliwem) uzewnętrznić w pukaniu mojem
cały szacunek jaki pielęgnuję dla uczonych w ogóle,
a dla pedagogów w szczególności.

— A kogo tam znowu djabli niosą?.. zapytano
z wewnątrz. Czy nie wiesz łajdaku jeden z drugim,
że tylko w Piątek zebrać wolno?..

Na honor! nigdy nie przypuszczała, ażeby mo-
żna tak szkaradnie objaśniać uczucia jakie za po-



— A kogo tam znów djabli niosą?.. zapytano z wewnątrz. (str. 108).

mocą palców wysłować a raczej wykołatać chciałem; widocznie albo emeryt nie znał się na pukaniu, albo ja fałszywy system wybrałem. Cóżkolwiekbydź faktem jest, że wynikło grube nieporozumienie, które należało teraz poprawić za pomocą metody głosowej, rzekłem tedy:

— Jesteśmy przyjaciele majora Byczkowskiego i przychodzimy prosić szanownego pana o poradę w pewnej kwestji familijnej....

— Ho! ho! przerwał głos ze źle udawanym śmiechem,— znam cię, znam urwipołciu!.. Nie pierwszy to twój figiel hultaju!.. wydrwigroszu!.. Niedawno nasłałeś mi żyda z fałszywym wekslem, a teraz znowu sam przychodzisz!.. Ho ho!..

— I na ogromnym smoku jeździć będziesz.... modliła się bardzo strwożona moja przyjaciółka.

— Pan dobrodziej mylisz się zapewne? spytałem trochę zdziwiony tak oryginalnem przyjęciem.

— Pan dobrodziej!... pan dobrodziej!.. przedrzeźniał głos za drzwiami. Daj pokój Feluniu, daj pokój drabie niegodziwy!.. Ja się nie mylę nigdy, tak jak się nie myliłem kiedym Zuzi nieboszce mówił, że wyrośniesz na łotra i że wcześniej lub później zginiiesz na szubienicy. Powiadam ci więc jeszcze raz: wynoś się, bo już ani feniga nie dostaniesz... Wynoś się, bo jak Małgosia wróci, to ci wszystkie miotły o łeb porozbija!..

— Ach panie łaskawy! wmieszała się majorowa,

my nic nie chcemy, oprócz pocziwej rady dla naszego wnuka Soterka, sieroty bez ojca i matki...

— Hum! hum! mruknięto za drzwiami, i, jednocześnie usłyszeliśmy szłapanie pantofli. Więc to istotnie nie ten łotr Feluś?., Uuu! co on mnie zdrowia napsuł!.. Mój Boże, dziś nastały takie czasy, że się człowiek obawiać musi własnego siostrzeńca. Oj, czasy!..

— Ciężkie czasy! potwierdziła majorowa poprawiając mantylę. Dziś sama kobieta nie da sobie żadnej radeńki na świecie!.. Ach!... To powiedziawszy spojrzała na mnie bardzo wymownym wzrokiem.

— Może pan dobrodziej zechcesz nam otworzyć? odezwałem się do ukrytego za drzwiami emeryta, pragnąc zdławić uczucia jakie wzbudziła we mnie mimika otyłej damy. Na uczciwość! w tej chwili gwałtownie zapotrzebowałem świadków, nie dla tego aby się od grzechu uchronić, lecz poprostu aby nie uciec od melancholicznej towarzyszki. Racz pan otworzyć!.. powtórzyłem.

— Kiedy... kiedy bo jestem zamknięty!.. bełkotano w pokoju. Małgosia wyszła na targ i... i... tego... Ale może państwo poszukacie klucza za beczką, około schodów... musi tam być!..

Czułem, że te objaśnienia sprawiały pewną trudność wielkiemu pedagogowi. Domysł mój stwierdziły poniekąd: gorączkowe szłapanie pantofli i pełne ukrytego niepokoju ucieranie nosa.

— Jest klucz!.. odezwał się po raz pierwszy Soterek, który plądrował się w czasie niefortunnych układów z emerytem.

Otworzyliśmy i weszli. Na środku pokoju stał siwy i zgarbiony Batożnicki w haftowanej czapeczce z fontaziem i w szlafroku, z którego ząb czasu powyciągał długie ogony starej i brudnej waty. Nastąpiły z naszej strony rekomendacje i tysiączne grzeczności, którym akompaniował zmieszany pedagog mówiąc:

— Ta.... ta.... Małgosia, to sobie niezłe kobiecisko!.. Ona bardzo dba o mnie... tak!.. Przytem jest niepospolicie wierna i boi się, żeby mnie nie napastował o pieniądze ten hultaj Feluś, mój siostrzeniec... No, i patrzcie moi państwo, że źli ludzie plotą, jakoby mnie ona tego... powiem poprostu biła... i... i na przekór mojej woli zamykała... Jako żywo to jest bajka!..

Jestem przekonany, że znakomitemu emerytowi z większą łatwością przysłoby objaśnić Chińczykom swój niezrównany system pedagogiczny, niż nam w tej chwili wytłomaczyć metodę opiekowania się nim wynalezioną przez dbałą Małgosię. Przerwałem mu więc dalszy wykład zjawisk w jego domu zachodzących i w niewielu słowach opowiedziałem nasze stosunki z Byczkowskim, dzieje Socia i cel obecnej wizyty.

Lecz nawet dziwnie zwięzłe sprawozdanie moje niecierpliwiło czcigodnego starca. Słuchał on nas stojąc, — co chwila niespokojnie spoglądał w okno,

kulił się i przestępywał z nogi na nogę jak człowiek usiłujący zapanować nad wybrykami niższych potrzeb swego organizmu; w końcu zaś prędko zapytał:

— Czy chodzi o zreformowanie tego malca zapomocą mojej metody pedagogicznej?...

— Tak jest, szanowny panie!.. odpowiedziała majorowa kłaniając się do samej ziemi wielkiemu mizantropowi.

— Jeżeli tak, to co innego—odparł nieco spokojniejszy, że nie powiem weselszy pedagog. Siadajcież państwo, skoro tak; — chętnie wyłożę wam mój system.... To powiedziawszy siadł, dając znak ręką abyśmy go naśladowali. Zauważyłem, że majorowa wykonała ten milczący rozkaz tak skwapliwie i tak energicznie, jak gdyby cała przyszłość Socia zależała od szybkości i siły uderzenia w stołek przy zajmowaniu na nim miejsca.

Podeszły mizantrop odchrząknął i zwracając się do wystraszonego Soterka zaczął:

— Z katechizmu wiadomo nam, że skutkiem grzechu pierworodnego, młodzież ma złe popędy, które tylko cierpieniem i pokorą ujarzmić się dadzą... Nieprawdaż mały?..

— Sociu! czy nie słyszysz, że się pan ciebie pyta?.. Odpowiadaj zaraz!.. zawołała groźnie babka, widząc, że wnuczek nie zdążył jeszcze skoncentrować dostatecznej uwagi na słowa zniechęconego do ludzi emeryta.

— Skoro w to, com powiedział, uwierzemy,—ciągnął poważny mówca,—wnet poznamy co robić potrzeba, aby w dzieciach przygłuszyć nasiona rzucone przez złego ducha... Nieprawdaż moi państwo?..

— Nieprawdaż!.. potwierdził bardzo stanowczym głosem uważny Socio, z tryumfem patrząc na babkę, która po takim debiucie swego wychowawca niezawodnie zarumieniłaby się po białka, gdyby jej w tej chwili jaki nieprzewidziany wypadek ujął przynajmniej z 50 lat życia.

Szczęściem wyrozumiały pedagog kiwnął ręką na znak zupełnego odpuszczenia i kazał dalej:

— Widzimy więc, że w dobrem wychowaniu na pierwszym miejscu stawiać należy karność i posłuszeństwo. Czy nie tak?..

— Tak! tak!.. zawołaliśmy oboje z majorową, której wnuczek w tej chwili najspokojniej przeglądał wiszące na ścianie kopersztychy.

— Poczkaż smoku! szepnęła babka; czcigodny zaś Batożnicki mówił:

— Karności są dwa stopnie: pierwszy stosuje się do dzieci umiających mówić, drugi do tych które już piszą. Nie myślcie jednak państwo, aby w moim systemie karność opierała się na różdze.... Różga jest niepraktyczna....

— Przytępia w dziecku ambicją,—wtrąciłem, pragnąc dać dowód pedagogowi, że łatwo zrozumieć wniosłe jego zasady.

— Tylko chamy używają różgi! dodała z głębokim przekonaniem majorowa.

— Tak!.. potwierdził emeryt. Różgę z wychowania należy zupełnie usunąć i zastąpić ją...

— Rozumem!.. pochwyliłem.

— Perswazją!.. uzupełniła stara dama.

— Batem!.. zakonkludował pedagog. Kto używa różgi, przyczynia się do tępienia lasów,—dobry zaś bat może służyć dla czterech lub pięciu pokoleń... Czy tak?..

— Tak!.. tak!.. potwierdziła majorowa i Socio z nieporównanym zapalem. Ja postanowiłem już milczeć.

Emerytowi podobał się ten entuzjazm poważnej babki i rumianego wnuka, mówił bowiem dalej ze wzrastającym ogniem:

— Jeżeli dziecko nieumiejące pisać lecz umiejące mówić zbroi coś, naprzykład wybiję okno, wówczas najprzód rachujemy ile ma miesięcy.... Jeżeli, dajmy na to ma 50 miesięcy, każemy mu 500 razy powtórzyć: *nie tłucz okna!.. nie tłucz okna!..* i damy mu 5 plag batem ze skóry cielęcej,—bo to widzicie moi państwo jeszcze jest dziecko i organizm ma bardzo delikatny... Jeżeli zaś dziecko już umie pisać i liczy naprzykład 90 miesięcy, a nie nauczy się przypuśmy lekcji,—wtedy każemy mu napisać 90 razy: *ucz się ośle!.. ucz się ośle!..* każemy mu to samo powtórzyć ustnie 900 razy i damy mu 9 batów ze skóry wołowej, bo to już wyrostek... Linją bije się po rękach

za złe pisanie, rysowanie, plamienie kajetów i w ogóle za drobne nieporządki; dobrze jest także bić po piętach, ale tylko za bieganie, albo tupanie....

Cycero robiący wymówki Katylinie, Demostenes zachęcający ateńczyków do niewierzenia Filipowi, pitagorejczyk zalecający ludziom wyrzeczenie się mięsa, pan Gambeta podkopujący idee monarchiczne we Francji, a w końcu warszawski stronnikiemancypacji kobiet, publicznie dowodzący im, że są rozkoszne jak... gęsi, mogliby pozazdrościć zapału wielkiemu emerytowi, którego cenne słowa najskrupulatniej starałem się zapamiętać. W tej chwili dopiero, poraz pierwszy w życiu, uczułem pretensją do mego kawalerskiego stanu, że mi nie pozwalał najprzód mieć, a powtóre wychowywać dzieci podług systemu dziesiątego, który na chlubę kraju i pociechę ludzkości wynalazł genialny starzec.

— Widzi pan dobrodziej, przerwała majorowa, my chcieliśmy się pytać nie o to, ale....

— Wiem, wiem!.. odpowiedział pedagog,—chcecie się zapytać co się robi w takim wypadku, gdy dziecko ma naprzykład 92 miesiące, kilka dni i parę godzin?.. To bagatelka!.. Liczy się za 100 miesięcy...

— Chyl!.. zawołano gdzieś w sąsiedztwie domu emeryta,—to pani za takie chude indyki płaci po rublu? Jabym i czterech złotych nie dała, bo straszne mizeractwo....

— Uuu!.. stęknął emeryt zrywając się na równe nogi,—Małgosia idzie!.. Żegnam państwa!.. bądźcie

łaskawi wyjść już, zamknąć drzwi i klucz położyć za beczką około schodów....

To powiedziawszy wypchnął nas prawie z pokoju błagając na wszystkie świętości, aby klucz leżał we właściwym miejscu i abyśmy, spotkawszy Małgosię nie mówili jej o swoich odwiedzinach.

Westchnąłem, pomyślawszy ile też to razy emeryt będzie musiał powiedzieć i napisać: *nie przyjmuj gości!*.. *nie przyjmuj gości!*.. Zdaje się bowiem, że jeżeli świat odrzucił w wychowaniu dzieci, to Małgosia niezawodnie w gospodarstwie domowym przyjęła i gorliwie stosowała pedagogiczny system dziesiętny wynaleziony przez czcigodnego Batoźnickiego.

— Widzisz serce,—rzekła mi, w drodze do domu, bardzo tkliwym głosem majorowa,—jak to źle być starym kawalerem!..

— Ciekawy jestem dla czego?.. odparłem dość kwaśno, przeczuwając co się może ukrywać po za tą niewinną uwagą.

— Dla tego,— odpowiedziała nerwowa osoba: że stary kawaler niebożątko zawsze pod koniec życia dostaje się w moc jakiej lafiryndy, megery.... która z nim dziwne rzeczy wyprawia...

Umieją to samo i żony, moja jejmość... Phyl!.. jeszcze i jak....

— Ale z żoną miałbyś więcej przyjemności, ciągnęła majorowa, argumentując wprost do mojej osoby.

— Djabli mi po tem, kiedy już na nogi nie zdążam...

— Nie byłoby ci tak smutno, nie byłbyś taki opuszczony jak jesteś....

— I to na nic....

— Miałbyś się z kim dzielić kłopotami....

— Nie wielka pociecha...

— Żona przed tobą otworzyłaby najtajemniejsze skrytki swojego jestestwa.

— Oooo... wcalem nie ciekawy!...

— Uuuu... to paskudnik jakiś!.. oburzyła się, już nie wiem za co, moja stara przyjaciółka, tonem osoby usiłującej przypomnieć sobie że była kiedyś młodą i niedoświadczoną.

Umilkłem już, czując, że mi się wszystka żółć po ciele rozlewa. Głowa gadatliwej kobiety jest to okseft bez szpunta; co się do niej wleje uszami lub oczami, natychmiast wylać się musi gębą. Ach! po com ja nieszczęśliwy urodził się weszłym wieku, wojował za cesarza jegomości Napoleona, poznał majorowę Moździerznicą i z nią do miasteczka w interesie wnuka pojechał?... Niech mnie Bóg skarże, jeżeli ta stara jędza nie zechce mnie zrobić swoim małżonkiem, żebym tylko w złą godzinę nie wymówił... Tfy!.. pokuso....

ROZDZIAŁ XI.

W którym autor i czytelnik doskonale bawią się za drzwiami.

Gdy, po powrocie z wizyty od męża, który tak szczęśliwie zastosował system dziesiętny do pedago-

giki, zjedliśmy obiad,—poważna przyjaciółka moja odmówiwszy krótką modlitwę i obtarłszy usta serwetą rzekła:

— Pójdziemy dziś serce na wieczór do kochanego Gadulsia....

Kiwnąłem głową, nie tyle na znak aprobacji ile aby siebie samego przekonać, że w sprawie tej głos mój i osoba niepoślednią odegrywają rolę.

— A teraz, dodała wdowa po koledze,—chciałabym się zacząć ubierać; muszę więc zamknąć drzwi od twego numeru i... przeprosić cię.....

— Pozwalasz mi zatem wyjść majorowo?... spytałem głęboko wzruszony nadzieją niewidzenia starej damy.

— Nie gniewaj się pułkowniku, odpowiedziała skromnie spuszczając oczy. To nie na długo....

Wybiegłem na korytarz, nie czekając dalszych objaśnień i błogosławiąc zasady przyzwoitości, które nie pozwalają damom ubierać się przy mężczyznach...

— Niech żyje rekreacja!.. zawołałem w duchu. O ubieraj się!.. ubieraj szlachetna przyjaciółko!.. ubieraj się choćby do dnia sądu ostatecznego... Jakże mi lekko!.. ..

— Numerowy!.. Numerowy!.. zaskrzeczała babunia Soterka.

Po chwili zjawił się wezwany i wszedł do pokoju majorowej.

— Ciekawym po co?.. czyby miał zastępować miejsce pokojówki... pomyślałem. Ależ nie!.. czło-

wiek ten wychodzi, kładzie czapkę na głowę i pędem biegnie do miasta w kierunku ulicy Mydlanej. Coś w tem jest, trzeba zaczekać...

Zrobiwszy tego rodzaju postanowienie zacząłem spacerować po sieni hotelu. Na podwórzu zataczające się kaczki dziobiąc śmiecie, prowadziły monotonną rozmowę. Młoda koza, znudzona spacerem około stajni, zabierała się już po raz dziesiąty do walki ze znacznie młodszym od niej kogutkiem, który, zgodnie z rodowymi tradycjami starał się jak najgroźniej rozkraczyć swoje chude nożęta i jak najdłużej wyciągnąć szyję na końcu której, przezorna matka natura, w niewiadomych nam celach, umieściła głowę wielkości bobu i dziób nie dłuższy od ziarnka owsa.

Od strony ulicy znowu, jakiś faktor polujący prawdopodobnie na interesanta, co chwila wyglądał za bramę, przemyśliwając jednocześnie nad tem, czy nie należałoby mi w czasie antraktu ofiarować swoich gorliwych usług. Przeciwnie zaś furman jakiegoś dzierżawcy czy też oficjalisty, oparłszy się plecami o wrota i zasadziwszy obie pięście za pazuchę patrzył na faktora i na mnie z miną Cyncynata, który pobił nieprzyjaciół, zorał pole, wywiózł gnój, wypędził bydło na łąkę, a obecnie zabiera się do spoczynku naciężko zapracowanych laurach.

Z dziesięć minut spacerowałem po bramie, czekając na powrót hotelowego pacholka i zapytując się dla czego troskliwa babunia dała Soterkowi urlop na całe

poobiedzie?.. dla czego zamknęła drzwi prowadzące od jej do mojego numeru?.. na jakiej zasadzie....

Przerwałem medytacje, ponieważ w tej chwili ukazał się numerowy w towarzystwie nieznanego mężczyzny. Przybyły dźwigał na tułowiu bardzo elegancki jasny surdut, na karku zaś głowę ozdobioną czarnymi jak węgiel włosami, które przyroda czy też sztuka pozwijała w miliony pierścieni. Był to bardzo ładny młodzieniec: takie oczy, takie wąsiki, taką figurę, taką pleć białą i różową widziałem tylko raz w życiu skoncentrowane w osobie 12 rublowej lalki.

Interesujący ten mężczyzna miał w rękach ogromne niebieskie pudło, co jest mniej dziwne; dziwniejszym było to, że wszedł do numeru majorowej i że po kilkunastu sekundach, drzwi zamknęły się za nim... na klucz!..

Gdybym był śpiewakiem włoskim, a majorowa o 60 lat młodszą, niezawodnie zażądałbym osełki do naostrzenia mego puginału. Ale w obecnych okolicznościach zamiast zazdrości uczułem gwałtowną senność, i nie robiąc hałasu wszedłem do swojej stancyjki aby tam upadłszy na twarde hotelowy materac, stać się mimowolnym świadkiem następującej rozmowy:

— Więc pan przyniósł te... te?.. mówiła majorowa.

— Tak jest pani,—odpowiedział młody człowiek. Mam z sobą koafiury błęd, szatyn, zupełnie czarne....

Słowom tym towarzyszył szmer środkujący między ukłonem a wycieraniem butów o podłogę.

— Ciekawam jaki kolor byłby dla mnie najlepszy?..

— Płeć pani jest tak... tak szczęśliwa, że każdy kolor pasowałby wybornie. Najlepiej jednak wydają się włosy czarne.

— Acha!.. pomyślałem, więc dziś wieczór zobaczymy kochaną majorowę w czarnej peruce...

— Możebyśmy przymierzyli,—odzywa się majorowa. Ja, widzi pan, straciłam włosy po tyfusie i... i...

Nie słyszałem nigdy, aby zacna moja przyjaciółka przechodziła tyfus,—z tem wszytkiem jednak nie czułem się obowiązany do sprostowania tego rodzaju pomyłek.

— Najmłodsze osoby po tyfusie tracą włosy, objaśnił elegancki subiekt. Może pani raczy usiąść na przeciw lustra.

Usłyszałem łoskot przesuwanego krzesła.

— Po co pan brzytwy przyniósł? zapytała niespokojnie dama.

— Myślałem, że potrzeba będzie usunąć włosy, ale widzę, że się obejdzie. Pani ma bardzo ładnie uformowaną głowę....

Nastała chwila milczenia, w ciągu której zapewne słodki uśmiech wykwitł na jelonkowem obliczu starej damy, która przemówiła znowu:

— Pan pewnie nie z tych stron?.. Ach jaki ciężki ubiór!..

— Przyzwyczai się pani!.. Jestem tutaj urodzony, ale kończyłem edukacją w Warszawie. Pani będzie łaskawa przechylić głowę na prawo....



...Pani ma bardzo ładnie uformowaną głowę... (str. 122).

— Wszyscy warszawiacy mają dobre ułożenie i umieją rozmawiać z damami... Zdaje mi się, że krzywo....

— Niech się pani nie obawia, znam swoją sztukę... chociaż, dodał z westchnieniem, nie jestem kontent z zawodu!..

— Myślałam, że ubierać głowy damom jest rzeczą bardzo przyjemną?..

— Niezawodnie pani; ja nawet byłbym zupełnie szczęśliwym, gdyby nie to, że mam pociąg familijny do profesji doktorskiej....

— Oh!.. kole mnie w głowę... Więc pan pochodzi z doktorów?..

— Tak jest pani!... Proszę pochylić głowę naprzód... Mój ojciec był chirurgiem, a dziadek mojej matki prawdziwym doktorem i tak się do swojej sztuki zapalił, że jednego syna zrobił restauratorem, drugiego aptekarzem, trzeciego księdzem.... Głowę na lewo!.. Potem familja nasza podupadła i ojciec mojej matki, nie mogąc już wypromować się na doktora, założył oberżę. Ale i ten miał medyczną żyłkę, bo wszystkim swoim krewnym i sługom, kazał cztery razy w roku stawiać cięte bańki wzdłuż krzyża. O matce mojej nie ma co nawet gadać, bo ona przez całe życie, każdemu, kto u niej mieszkał, albo z wizytą przyjechał, dawała na.... Głowę do góry!.. Ja miałem być doktorem, tak chciał ojciec i matka; oddali mnie nawet do klas.... Głowa prosto!.. Ale że

mi w szkołach było zaciężko, więc uciekłem do fryzjera....

— Cóż na to rodzice?

— Ha cóż! trochę się gniewali, ale później mój pryncypał wytłomaczył ojcu, że doktor, fryzjer i chirurg to prawie wszystko jedno, i starzy udobruchali się....

— I ii... przerwała majorowa,—lepiej pan zrobił, że nie został doktorem. Doktorzy to tylko zabijać umieją.

— Święta prawda! potwierdził elegant,—tak samo mówił wuj Symplicjusz brat mojej matki. Był to człowiek bardzo rozumny i bardzo szczupły, nazywali go nawet suchotnikiem; ale póki mieszkał przy swoim ojcu, który mu co kwartał stawiał cięte bańki póty był zdrów... Głowa do góry... ot tak!.. Kiedy dziadek umarł, wzięli wuja w kurację doktorzy, położyli do łóżka i powiedzieli, że z nim jest strasznie źle. Całe szczęście, że moja matka usłyszawszy o tem, zaraz powiedziała do wuja: „Sympciu!.. kpij z nich... Ja cię wyleczę!..“

— Te włosy dobrze leżą, tylko zdaje się, że przy mojej twarzy nie są dość czarne, — przerwała stara osoba.

— Upudrujemy twarz, a wtedy włosy wydadzą się ciemniejsze.... Pani musiała być piękną brunetką!.. wtrącił artysta.

— Więc cóż się stało z pańskim wujem?.. Bardzo ciekawa....

— A cóż?... nie! Jak mu mama zaczęła co tydzień dawać na tego.... tak zaraz się poprawił, tylko że go doktorzy przyzwyczaili do łóżka, więc już nie wstawał.... Teraz upudrujemy z tej strony!.. Leżał sobie tedy i kaszłał, kaszłał i pluł, a pluł samemi płucami... Aż jednego dnia...,

— Niech pan już nie opowiada takich rzeczy, bo mi się aż słabo robi....

— Pani jest bardzo spazmatyczna, zauważył elegant.

Sen opanowywał mnie; wątek rozmowy prowadzonej w sąsiedztwie rwał się w umyśle moim. Czułem, że wpadam w jakieś filozoficzne awantury i.... już nie wiem co było dalej.

ROZDZIAŁ XII.

W którym znowu ogół miłujące jednostki odbywają pracowite posiedzenie na intencję osieroczonego Soterka.

Ósma wybiła na miejskim półzegarzu, kiedyśmy oboje z majorową dotarli do mieszkania poczciwego Gadulsia, który, z taką chlubą dla siebie i pożytkiem dla społeczeństwa, od niepamiętnych czasów wypełniał trudne obowiązki powiatowego opiekuna sierot i małoletnich.

— Aaaa!.. zawołał, ujrzawszy nas, uprzejmy właściciel lokalu. Najczcigodniejsza majorowa dobrodziejka!.. najszanowniejszy pułkownik dobrodziej!.. Kochani, dawno oczekiwani goście!..

Z temi i tym podobnemi wykrzyknikami, grzeczny Gadulski rzucił się jak tygrys na poważną moją przyjaciółkę, rozmotał krępujące ją szale, a następnie, z wdziękiem godnym przynajmniej dziesięciu Ludwików czternastych, wprowadził damę do sali zalanej potokami światła wytryskującego z dwu świec stearynowych i jednej naftowej lampy.

Od południa nie widziałem niepokieszonej wdowy po zmarłym koledze Moździerznickim, a ponieważ o zroku już wybraliśmy się na wizytę, nie mogłem więc dostrzedz zmian, jakie w naturalnych wdziękach mojej towarzyszki zaprowadził biegły artysta kunsztu perukarskiego. To też ujrzawszy na środku sali stojącą damę, o mało nie wykrzyknąłem: „Przebóg!.. jest-że to ona?...“ Głos był ten sam, wzrost także i tusza taż sama jakby ułał,—lecz na głowie, zamiast bufiastego czepca, iskrzą się i wonieją czarne, silnie upomadowane włosy, a na obliczu, niegdyś blado-cynamonowem, leży obecnie potężna warstwa różu, nadająca starej damie pozór szafy polakierowanej na czerwono....

Nie wiem, jak daleko sięgały modyfikacje, dokonane przez fryzjerskiego pachołka na organizmie podszłej majorowej; pewnem jest jednak, że powierzchowną metamorfozę dostrzegł nawet roztrzepany Gadulski, i, jak się to mówi, zapomniał języka w gębie. Szczęściem ocknął się stosunkowo dość szybko, z niewłaściwego, a nawet w podobnych wypadkach bardzo

nagannego osłupienia, i wskazując na kilku mężczyzn, rzekł:

— Oto pan Łukasz Mulnicki, archiwista akt dawnych!.. mam zaszczyt prezentować...

Świeżo wyrestaurowana dama wygięła się od tyłu ku przodowi, jak osoba doświadczająca bólu w okolicach krzyża; prezentowany zaś archiwista spojrział na nią tak, jak ludzie jego specjalności patrzą na stare akta, którym, dla przynęty półgłówków, dodano kosztowne okładki.

— Oto jest pan Achilles de Pureaux, spadły z etatu nauczyciel rysunków i kaligrafji!.. mam honor rekomendować... ciągnął etykietalny Gadulski.

Nastąpił nowy paroksyzm cierpień krzyżowych ze strony Pudencjanny Moździerznickiej, na co wysmukły de Pureaux odpowiedział szeregiem ruchów malujących nie tyle sympatją dla osoby przybyłej, ile raczej głęboką cześć dla sztuki ładnego pisania.

— A oto, znany już majorowej, pan Pieprzkowski... kupiec i obywatel!.. zakonkludował gospodarz!

— Aaa!.. odpowiedziała uróżowana Pudencjanna, zajmując majestatycznie połowę skrzypiącej kanapy. Gdzież jest szanowna siostra twoja kochany Gadulsiu?..

— Wyjechała na parę tygodni droga majorowo!.. A gdzież ukochany mój pupil? wywzajemnił się troskliwy opiekun.

— Pozwoliłam mu nieboraczkowi spacerować przez całe poobiedzie, ale... zapewne niedługo przyjdzie!.. objaśniła trochę zakłopotana babunia.

W tej chwili otworzyły się z łoskotem drzwi wchodowego pokoju, i, jednocześnie prawie, ukazał się na progu sali czerwony i otyły jegomość w akompaniamencie bardzo chudej i bladej jejmości.

— Otóż i nasi kochani państwo Pukalscy! zawołał gospodarz udając ogromnie zadowolonego. Pan Sylwester Pukalski... pani Weronika Pukalska!.. pani majorowa Moździerznicka!..

— Były obywatel ziemski... dodał przybyły jegomość. Powiadam były, ponieważ nasze kochane Towarzystwo Kredytowe, już od trzech lat posadziło mnie z żoną i dziećmi na bruku....

— Sylwciu!.. wtrąciła chuda pani, błagalnie patrząc na większą połowę swej istoty.

— Wzorowe małżeństwo!.. szepnął do mnie archiwista akt dawnych. Dziesięć lat pożycia i, piętnaścioro dzieci....

— Żono moja!.. Weroniko moja!.. zawołał popędliwy Sylwester,—nie broń ich!.. Tak moi państwo, powtarzam, że Towarzystwo Kredytowe istnieje po to tylko, ażeby gubić nas obywateli. Żyd drze... ale czeka,—a Towarzystwo.... niech go djabli porwą!...

— Nie skończy dziś o Towarzystwie.... bąknął Pieprzkowski.

— Panie Mulnicki dobrodzieju, panie archiwisto... opowiedz nam z łaski swej historją kogutka!.. prosił Gadulski, chcąc widocznie przeciąć jeremjady podupadłego obywatela.

— Co tam historja koguta!.. słyszymy ją kopę razy na dzień... przerwał niegrzecznie zlicytowany ziemianin.

— Eee... mój panie!.. zawołał archiwista. Właśnie że państwo nie znają tej historji; a jest ona z pewnością ciekawsza od wiekuistej bajki o Towarzystwie Kredytowem.

To powiedziawszy wystąpił na środek.

Nie wiem do czegoby doszło między zrujnowanym obywatelem ziemskim i ceniącym swój improwizatorski talent archiwistą, gdyby na szczęście w tej chwili nie przeszła przez salon Zosia, pulchne wiejskie dziewczę, pełniące obowiązki kucharki i pokojówki w domu zacnego Gadulskiego. Ukazanie się jej zażegnało burzę; zirytowany bowiem Pukalski wybiegł za dziewczyną do kuchni, niby to dla pomagania jej przy gospodarstwie, a właściwie po to, aby bez kompromitacji zejść z oczu swemu przeciwnikowi, który tym sposobem został panem sytuacji. Rozumie się, że po rejteradzie głównego i jedyne go oponenta, reszta obecnych z powagą sędziów kryminalnych zabrała się do wysłuchania ciekawej i zapewne bardzo pouczającej historji ptaka, który po wszystkie czasy służyć będzie za symbol waleczności, galanterji i innych drogocennych przymiotów, jakie płeć piękna najczęściej uwielbia w mężczyznach.

Mówca zaczął:

„U Macieja na podwórzu w czas lata, hodowała się

kureczka czubata; mała, czarna, tłusta, zwinna i młoda, wciąż wołała: kot-kot-kot-kot-kot-koda!..“

Ostatni frazes nie zrównany naśladowca wydeklował z taką precyzją, że nasze damy, obie zawołane gospodynie, mimowoli wykonały palcami kilka charakterystycznych giestów, za pomocą których hodowcy kur namacalnie sprawdzają ekonomiczną doniosłość gdakania swoich wychowanek.

Tryumfujący deklamator ciągnął dalej:

„Rzekłszy na to gospodyni: dobrze tak!.. posadziła swoją kurkę na przetak. Niedługo też kokoszeczka czarniutka, wysiedziała srokatego kogutka, co na głowie żółciuteńki miał znaczek i śpiewał se: pi-pi-pi-pi!.. robaczek.“

Dostrzegłem, że, — przy słowach: pi-pi-pi-pi!.. z taką rzewną prostotą malujących pierwsze poglądy na świat kurzego niemowlęcia, — oczy obu szanownych dam zachodzą łzami.

„W tydzień potem ziarnka sobie sam grzebał, rósł jak ciasto, wron drapieżnych się nie bał; czasem braciom....“

— Nooo!.. co pan już nie wyrabia!.. wrzasnęła w kuchni pulchna Zosia tak przeraźliwym głosem, że rozdeklowany archiwista zamilkł jak ryba, a natomiast blada i chuda pani Pukalska, zrywając się z kanapy, jęknęła:

— Mężu mój!.. Sylwciu mój!..

Namiętny Sylwcio ukazał się we drzwiach, z miną

baranka, któremu usiłują dowieść, że wymordował stado wilków.

— Nic... nic... kochana Weronisiu, słowo honoru nie!.. Tylko... tylko miał się wywrócić samowar, ale go w porę zatrzymałem... Jakiem Pukalski!..

— Baagatela!.. przerwał wyrozumiały gospodarz. A choćby się nawet i wywrócił, nie wielka byłaby szkoda.

— Czyś się pan tylko nie sparzył ptaszeńku?.. zapytuje troskliwa majorowa subhastowanego właściciela dóbr doczesnych.

— Naturalnie że się sparzył!.. mruknął gniewnie archiwista, któremu w najefektowniejszym miejscu przerwano zajmującą powiastkę.

— Ooo... nie!.. niech pani będzie spokojna,.. zapewniał moją przyjaciółkę otyły przeciwnik Towarzystwa Kredytowego.

— Możeby pan Mulnicki dokończył teraz bajeczkę?.. wtrącił nieśmiało wysmukły de Pureaux.

— Nie głupim!.. odparł deklamator, siadając na fotelu w taki sposób, jakby miał zamiar wyrazić najwyższe lekceważenie dla wszystkich obywateli ziemskich.

— Z samowarami zdarzają się nieraz okropne wypadki, — rzekł gospodarz, chcąc widocznie zapobiedz groźnym następstwom dalszych manifestacji rozjątrzonego archiwisty akt dawnych. Pamiętam, że rok temu, jedna panna zawadziwszy o stolik, wy-

wróciła sobie na suknię caluteczki samowar z kipiątkiem...

— I cóż?.. i cóż suknia?.. zawołały razem obie damy.

— Ha cóż!.. poparzyła się; biedaczka i dwa tygodnie się nie mogła na krześle...

— Ja także miałem wczoraj straszny wypadek.... wtrącił skromny Achilles de Pureaux, spadły z etatu nauczyciel rysunków i kaligrafji.

— Czy także z samowarem? zapytaliśmy wszyscy.

— A tak!.. Wylałem sobie na moje białe pikowe spodnie całą butelkę alizarynowego atramentu....

Było aż nazbyt jasne, że prowincjonalny członek krajowego piśmiennictwa, nie krępuje swojej kaligraficznej fantazji żadnemi prawidłami zdrowego rozsądku. Ztąd wypływał bardzo naturalny wniosek, ten mianowicie: że prowincja budziła się już z odwiecznego letargu; do tej pory bowiem znakomitości podobne do Achillesa spotykano tylko w warszawskich kółkach literackich.

— Możebyśmy preferka zarznęli? zapytał, po chwili ogólnego milczenia, b. obywatel Pukalski, wysapawszy się po przygodach kuchennych.

— Sylwciu kochany!.. prosiła przygnębiona małżonka.

— Ehe... co mi tam jejmość głowę zawracasz! odparł naczelnik tworzącego się plemienia Pukalskich. Jeść nie dają, w karty nie grają, więc chyba idźmy

już spać, — bo na polowanie z pewnością nie zaprowadzą...

Chciałem uściskać dzielnego Sylwestra, za tak treściwe sformułowanie naszych duchowo-ziemiańskich potrzeb,—gdy w tem drzwi skrzypnęły i wszedł spocony jak mysz Soterek.

— Otóż i mój kochany pupill!.. Jakże się masz? gdzieś bywał? wita przybyłego tkliwy Gadulski ściskając go przytem i całując tak serdecznie jakby Socio był co najmniej rewizorem kasy, a przyjmujący go opiekun kasjerem, który popełnił nadużycie.

— Sociu, ukłoń się!.. komenderuje odświeżona babka.

— A babunia gdzie?... pyta naiwny chłopiec, wodząc błędnem okiem po wszystkich sprzętach wykwintnego salonu, jakby przypuszczał, że szanowna staruszka bawi się z nim w chowane.

— Babcia siedzi przecież na kanapie,—czy nie widzisz?.. objaśnia go szlachetny Gadulski, wskazując na utrefioną damę.

— Sociu chodźże tutaj!.. odzywa się już drżącym zapewne z gniewu głosem babka.

— Nie pójde!.. odpowiada stanowczo nieokrzesany wnuczek, z widocznymi objawami przestachu.

Ależ Sociu!.. reflektuje go opiekun, lękający się jakiej familijnej katastrofy.

— Kiedy bo się boję!.. mówi już na pół z płaczem Soterek. Na co babcia przyprawiła sobie głowę!..

— Aaa... wiecie państwo, żem jak żyję nie słyszał nic podobnego... Otóż to wychowanie na wsil!.. Siedem-

nastoletni chłopiec nie rozumie tego, że damy mają nieograniczone prawo uzupełniać, odnawiać, przemieniać i t. d. swoje wdzięki, które przecież stanowią ich niezaprzeczoną własność. To też nie zadziwiłem się, gdy po małej pauzie, obeznana ze zwyczajami światowemi majorowa zawołała:

— Słabo mi!.,

Zbyt wiele mam delikatności i dobrego serca abym mógł wyzyskiwać kłopotliwe sytuacje w jakich niekiedy znajdują się ukochani moi bliźni; na tem więc skończę opis powikłań, które tak niespodzianie wybuchły między czcigodną moją przyjaciółką i jej sympatycznym wnukiem. Dodam tu tylko, że przynajmniej pół godziny upłynęło, nim ustaliła się w naszym towarzystwie jaka taka harmonja, i, nim zawsze pełen filantropijnych uczuć Gadulski przedstawił zebrany następującą kwestję:

— Otóż tedy, powiedźcie nam łaskawi państwo, jaki zawód praktyczny dla swego wnuczka ma obrać nasza kochana a obecna tu majorowa?...

— Do kupca!.. do kupca!.. radził uczciwy Pieprzkowski, na pozór silnie zainteresowany brzękiem i szczękiem, który rozlegał się w jadalnym pokoju,

— Czego on się u kupca dorobi! . odparł z niedowierzaniem archiwista.

— Jakto czego?.. a mój siostrzeniec Michaś, czy źle na kupiectwie wyszedł?.. Zaczął przecież interes z dziesięcioma palcami, a dziś ma sklep... eech!..

— Prawda!.. prawda!.. ale co się udało Michałowi, może się nie udać Soterkowi, który do pańskiego siostrzeńca jest tak podobny, jak pięść do nosa...

— Co ten człowiek wygaduje?.. jak pięść do nosa!.. woła urażony kupiec i obywatel. I ten blondyn i tamten blondyn... oczy niebieskie, wzrost dobry, skłonność do tuszy... czego tu chcieć więcej? podobni jak dwie krople wody...

— Aa ale!.. odpowiada uparty deklamator. Michaś to człowiek wcale nie głupi i nawet obrotny...

— Głupi!.. głupi!.. twierdzi rozindyczony Pieprzkowski. Głupi jak stołowe nogi... rodzony wnuczek pani majorowej!.. Wiem przecież, bo się u mnie wychował...

W czasie tej gorącej dyskusji, przyjaciółka moja siedziała jak na rozżarzonych węglach; uwolnił ją dopiero z tej łaźni spadły z etatu Achilles, mówiąc:

— Gdyby kaligraficznie pisał, mógłby wstąpić do biurowości!...

— Strasznie trudno o miejsce!.. przerwał Gadulski, lękając się zapewne nowego współzawodnika. Lepiejby już został tem, czem go Bóg stworzył, to jest obywatelem ziemskim...

— A to mi rada!.. oburzył się namiętny Pukałski. Chyba po to zostanie obywatelem ziemskim ażeby go subhastowało Towarzystwo Kredytowe?..

— Przecież ty Sociu serce sam już miałeś parę razy do czegoś ochotę?... odzywa się babka.

— Ja?.. ja bym poszedł albo do uzarów, albo do uniwersytetu... odpowiada głupowaty Socio.

— Z trzeciej klasy do uniwersytetu?... trochę zaciężko. Cbybabyś... jeszcze z rok nad książką popracował,—reflektuje go opiekun.

— Mogę udzielać lekcji rysunków i kaligrafji... wtrącił de Pureaux.

— Możeby na księdza?.. zapytuje błada Weronika.

— Proszę państwa... już do stołu podano!.. oznajmia ładnie uformowana Zosia, niepatrząc nawet na otyłego Pukalskiego.

Członkowie rady familijnej, na wyścigi rzucili się do jadalnego pokoju, gdzieśmy mniej więcej obsiedli stół w porządku chronologicznym. To też ja dostałem się majorowej, Pukalski, zgodnie z prawami kanonicznymi asystował Pukalskiej, linijkowaty Achilles de Pureaux obsługiwał poetycznego archiwistę, powiatowy zaś opiekun sierot a zarazem gospodarz bankietu był wszędzie i pamiętał o wszystkich.

— Uuu!.. mruknął b. obywatel ziemski, — tu widzę jakby na złotem weselu częstują nas zimnemi nogami...

— Sylwciu!.. zmonitowała go skromna Pukalska wyciągając rękę do drugiego półmiska, który w tej chwili rumiana Zosia przyniosła.

— Phyl!.. co widzę?.. zawołał znowu ziemianin. Po nogach ryby?.. Oooo!..

— Ryby usposabiają do sakramentu małżeństwa.. objaśnił Mulnicki wysmukłego Achileasa.

— Pułkownik sercel.. zjedz te dwa kawałki szczupaka, jeżeli mi dobrze życzysz.... prosiła troskliwa majorowa.

— Owszem!.. odpowiadam, — niewiem jednak czy się to na co przyda!..

— Kochany Sylwciu!.. odzywa się błagalnym głosem chuda Weronika,—nie jedz ryby, jeżeli miłem ci jest moje życie....

— Ale co tam!.. odpowiada niewzruszony ziemianin, kiwając na Zosię, aby mu podała półmisek.

Rozkaz spełniono, gdy w tem...

— Nooo!.. wrzasnęła znowu pulchna kucharka i.... rybę z garniturem i półmiskiem rzuciła na podłogę.

— Tego już chyba zanadto!.. krzyknął zrospaczony gospodarz, za ten półmisek dziś przed południem zapłaciłem cztery złote...

— A cóż ja winna, że pan Pukalski... tłumaczy się kucharka.

— No.. no... no... tylko dużo nie gadaj... przerywa gwałtowny przeciwnik Towarzystwa kredytowego. Ja za półmisek mogę zapłacić, ale swoją drogą i tyś trochę winna... Bo kiedy.... tego.... brałem jedną ręką...

— Ach Sylwciu!.. ach mężu!.. co też ty w obcym domu wyrabiasz?.. wzdycha ciężko strapiona Weronika, myśląc zapewne, że, za cztery złote, można by przynajmniej bułek kupić na cały dzień, dla piętnastu gałązek szlchetnego rodu Pukalskich.

— Ach do diabła!.. mruknął archiwista, — taki miałem apetyt na rybę...

W tej chwili we drzwiach kuchni ukazał się jakiś człowiek, któremu pąsowy nos i czarne faworyty, nadawały wysoce półurzędowy charakter.

— A cóż tam nowego mój Walenty? zapytuje gospodarz.

— Pan naczelnik prosi pana w ten moment do siebie!.. rzekł przybyły.

— A to.... zdarzenie!.. zawołał uprzejmy Gadulski, nie wiedząc w jaki sposób pożegnać swoich kochanych gości.

— To już proszę pana chyba *arbaty* nie będzie? odzywa się rumiana Zosia.

— Biedny mój Soci!.. westchnęła majorowa, wstając od stołu aby pożegnać gościnnego Gadulskiego.

.

W parę minut znajdowaliśmy się już na ulicy.

ROZDZIAŁ XIII.

W którym opowiadający niniejszą historją, nie ma zamiaru ani uwłaczać prawości oficjalistów, ani dyskredytować lojalności prawników.

Następnego poranku zjawił się w hotelu Icek mój pachciarz, a zarazem wierzyciel, powiernik, pośrednik, słowem *Deus ex machina* dla wszystkich większych i mniejszych posiadaczy ziemskich w naszej

okolicy. Przyznaję, że wizyta jego zaniepokoiła mnie trochę; nie tracąc jednak szlacheckiego ferworu, jaki każdy z nas obywateli w stosunkach z podobnymi indywidualnościami zachowywać powinien, głosem wesołym i opół tonu podniesionym zawołałem:

— Ahaa!.. jak się masz Icuniu?.. pewnoś do mnie przyjechał!..

— Trochę do jaśnie pana, a trochę na licytacją, odpowiedział Icunio dotykając czapką podłogi. Przy powitaniu niektórych z moich sąsiadów, dotykał on zaledwie palcami brzegów swojej jarmułki.

— Cóż to za licytacja, jeżeli wolno spytać?..

— Iii... nie bagatel!.. To na dostawy do szpitala państwa... Ja nawet nie dla siebie, ale dla swego zięcia...

— Hum!.. No, a jak tam u mnie w domu?..

— Wszystko dobrze Bogu dziękować, ino tylko pięcioro bandosów umarło....

— Uuul!.. A na co?..

— Jaśnie pan wie!.. To na *te* chorobę...

— Patrzaj Icuniu!.. A żniwa idą?..

— Co nie mają iść?..przecie jaśnie pan zostawił pana rządcego, a pan rządca nie zrobi krzywdy jaśnie panu. Żeby tylko nie ten deszcz....

— Jak to deszcz padał?.. I kiedyż to?..

— Iii... tylko trochę... przez te parę dni jak jaśnie pan wyjechał.

— Niestety!.. No jakże tam z resztą?..

— Z reczką?.. Reczka u jaśnie pana śliczności, takiej drugiej w całej guberni nie ma...

— Ale ja się nie pytam co z hreczką, ale co z resztą?... co z resztą gospodarstwa, rozumiesz wacpan?..

— Ny.. ny!.. zresztą, zresztą... Już rozumiem!.. Ale zkąd to jaśnie pan się o tem dowiedział?..

— O czym?!

— Nu o tem, że pan rządca dał co zresztą pisarzowi i że go wygnał...

— Co ty mówisz... wygnał?.. Bez mojej wiedzy!..

— Jak to wygnał?.. Z przeproszeniem jaśnie pana, ale ja takiego słowa nie mówiłem... ja się omyliłem!.. Pan rządca bez jaśnie pana nie śmiałyby nawet myszy wygnać z pańskiego pokoju... To dobry rządca,—on zna służbę!..

— Więc nie wygnał?...

— Rozumie się!.. Tylko widzi jaśnie pan był taki interes. Pan rządca poswarzył się z panem pisarzem o coś,—ja nie wiem o co, i żartami powiedział, że jak złapie pana pisarza, to mu da sto batów. Nu i złapał pana pisarza i przez figle coś mu tam dał zresztą, ale ja już nie wiem ile, bo mi parobcy gadali tylko tyle, że jak pan pisarz zaczął nogami fikać, to aż mu but zleciał i szybę wybił!..

— I wypędził go!..

— Nie wypędził, Niech Bóg bronil.. Pan pisarz sam uciekł; nawet zostawił czapkę w kancelarji...

— Ach łotry!..

— Co prawda, ciągnął dalej roztropny Igunio, ja przy tem nie byłem i żeby tak dokumentnie opowiedzieć, to nie potrafię,—ale mam do jaśnie pana list od pana rządcego....

— Dawaj-że prędzej!.. zawołałem wrywając z rąk zaściankowego dyplomaty olbrzymią zabrudzoną kopertę, w której pod trzema pieczęciami, wyobrażającami gołębia unoszącego w dziobie serce przebite strzałą, ukrywał się arkuszowy dokument.

— Może ja już jasnemu panu nie potrzebny?..... Bo się spóźnie na licytację... wtrącił pokornie Icek.

— A idź, idź... Tylko... wstąp do mnie jak będziesz miał wyjeżdżać!

Zniknął Icek za drzwiami, a ja z gorączkowym niepokojem zabrałem się do odczytywania listu, który przytaczam:

Jaśnie Wielmożny

Dziedzicu

i Dobrodzieju!

„Że o gospodarskich zgryzotach i wydarzeniach pachciarz Icek zda J. W. Dziedzicowi relację i doniesienie, nie jestem temu winien; z powodu kłopotliwości ojcowskiego serca mojego nie miawszy głowy do tych i tym podobnych interesów, — więc przed J. W. Panem chwalić się darmo nie chcę.“

„Znany J. W. Dziedzicowi Alfons, a naprawdę Baltazar Gadziński, już w dominium i ekonomji naszej nie jest;—ponieważ jakkolwiek wstręt mi czyni jego nazwisko i osoba, dokładnie opisać czuję się być

zasuspendowanym, — ażeby przypadkiem do uszu J. W. Pana złe języki plotek i nieprawdziwych fałszów nie doniosły. Farmazon ten, mianujący się być Alfonsem, a naprawdę Baltazar, sławny z nierządu, pijaństwa, karciarstwa i innych złych skłonności, który, jak widać z Bożego dopuszczenia na pokaranie grzechów moich, w dominjum i ekonomiją naszą z łaski J. W. Dziedzica na prowentowego pisarza się wsrubował, — popuszczając wodzę nieczystym chuciom swoim, bez niczyjej wiedzy i przyzwolenia, cholewki smalił do córki mojej Rozalji Benigny Tyczkowskiej i wiersze do takowej także jednego dnia wysztafirował, — które tu na właściwem miejscu mojego niniejszego pokornego listu przylepiając, ażeby nie wpaść w posądkę i podejrzenie, względem cudzych słów przekręcania i Bogu ducha winnych oskarżania.

*Do * **

Oczy twoje jak dwa węgle,
 Myślę o nich ciągle;
 Jak ananas buzia twoja,
 Nieszczęśliwa doła moja.
 Pozwól mi w oczki spoglądać,
 W buzię pocałować żądać.

Szczerze kochający i do grobowej deski wierny, wiersze te skomponował i własną ręką pisał.

Alfons Gadziński.

„Wiadoma J. W. dziedzicowi mojej córki skromność i niewieścia jej wstydlivość, nie pozwoliły tej-

że na tak głupie i bezbożne androny odpisywać. Taż, co jej mam za złe, nie chcąc na psią starość ranić ojcowskiego serca mojego, przedemną pary z gęby nie wypuściła; ale za każdym razem spotkawszy się z tym antychrystem wszelkie grymasy jakie porządny pannon przystoją pokazywała, chciawszy mu aktualnie wyperswadować, że go jak tego wart jest, wcale przez nogę traktuje i za hetkę pętelkę nie uważa. Ten jednak wszetecznik, jakby nie dość mający jednej chryi, drugie, pod spodem przyklepione wiersze wysztychował i przez pastuszkę od świi Kachnę dla do rąk własnych doręczenia córce mojej wyż wymienionej Rozalji Benignie zaaplikował.

Do pięknej Rózi.

Ludzie przed tobą szcękają,
 Że mnie z Magdą spotykają;
 Bodajże we mnie piorun trzasł,
 Jeżelim do Magdy laź!.. *)
 Całą prawdę wypisuję,
 Zatem posłuchaj co czuję;
 Głupia Magda, głupia Jagna,
 Głupia Nastka i Paraska;
 Jeżelibym z niemi romansował,
 To bym swój herb skompromitował.
 Więc jeżeli mnie kochasz,
 To im te wiersze pokaż.
 Oto całą prawdę masz!..

Twój do śmierci *Alfons.*

*) Łziesz, boś laźił; sam cię widziałem.

„Wiedziawszy, że urwipoleć taki, koszuli na grzbiecie nie mający, i, względem zabrania się do związku małżeńskiego przystąpić nie mogąc, siadła tylko na cnotę głupiej dziewczyny zastawia; do której nie jego sosem ani nosem ludzie się absztyfikują ze statkiem, utrzymaniem i wszelkim należytym porządkiem jako, leśniczy z Wólki, ekonom z Bałabanówki, pisarz gminny z Rakodłubów i jeden kolonista z Tarapatajki. Więc na takie rozpustowanie i domokalenie żadnym sposobem nie mogłem pozwolić i sama nawet Rózia, znająca mores, odpisała mu raz na zawsze, żeby sobie napróżno głowy tym interesem nie nabijał, ani też krwi sobie smakiem, który dla niego nie jest, darmo nie psuł. Ale on wpadłszy w pasję, więc zaczął roznosić pomiędzy ludźmi, że Rózia koperczaki ciąga z profesorem Wielmożnej Majorowej Moździerzniczkiej i takie znowu wiersze napisał.“

Do niewiernej Rózi.

Cóż tu gadają chłopcy,
 Żeś z profesorem chodziła między kopy?..
 Więc zaklinam ciębie,
 Na Boga w niebie:
 Powiedz prawdę, nie skrywaj się,
 Czy to prawda, że wy kochacie się?..
 Bo jeżeli to jest prawda,
 Więc to z twojej strony zdrada!
 Boś mi przysięgała,
 Żeś mnie kochała!

A teraz powiem ci, kiedyś mnie zmaniła;
Wolałbym, żebyś mi sztylet w serce wbiła,
Jakieś mnie zmartwiła!..

Na wieki wieków niepokieszony

Alfons.

„Złapawszy takie sprośne i grzeszne obrzydliwości przeciw niewieściemu wstydowni córki mojej wyrychtowane, dobrzem za to Rózi nakiwał, która już dwie doby popłakuje; i w najniewinniejszej myśli nastraszywszy trochę Baltazara Gadzińskiego, nie słusznie mianującego się Alfonsem, który potem gdzieś drapnął, a może i mazią się rozlał. Bo jako nie obmawiam nikogo i czernić nawet wrogów nie chcę; ale powiem J. W. Dziedzicowi, że zaprzaniec ten ani na Mszę Ś-tą ani do spowiedzi nie uczęszczał, chłopskie konie w szkodę puszczał, drzewo potajemnie holendrom sprzedawał i od żydów przeszłego roku kubany przy mierzeniu grochu brał; co, że się dzieje z krzywdą J. W. Pana, donieść i powiadomić jestem obowiązany”.

„Z tęsknością i serca rozdarcie, odsłaniając sromotę jedynej córki mojej, przed okiem J. W. Pana, śmiało oczekuję takowego przybycia, który po Bogu najsprawiedliwiej niewinność osądzi i cnotę jako też honor, ostatnie bogactwo nasze, przed chytrością tego bezwstydnika zaasekuruje. Zatem ściele się pod stopy i przy okazji donoszę, że cholera u nas i

okolicami grasować poczęła, a deszcz bez żadnego ustanku wciąż chłapie i chłapie.“

Jaśnie Wielmożnego Dziedzica najpokorniejszy i najprzywiązańszy sługa

Szymon Tyczkowski.

List ten wzbudził w umyśle moim dwa pytania: 1^o Czy, godne głębokiej sympatji rodzicielskie afekta mego rządcy, harmonizują z uczuciami jakie ja sam mógłbym pielegnować dla swojej nieruchomej i przez miejscowe władze uznanej własności ziemskiej? i 2^o czy nie należałoby skierować ku swej własnej osobie, dochodów z eksploatacji moich instynktów filantropijnych, które przez parę dni stale obracałem na korzyść przedwcześnie osieroconego Soterka?.. Przy tem wyjazd z domu w czasie żniw?.... Aj do djabła!..

Około 9-ej byłem już w numerze majorowej, którą powitałem następującym frazesem:

— Wiesz co, kochana przyjaciółko,—że odebrałem z domu bardzo złe wiadomości....

— Jezus... Marja!.. westchnęła nerwowa osoba z pośpiechem siadając na podartej kanapie.

— Deszcz pada od chwili mego wyjazdu...

— Ach ja nieszcześliwa!...

— Rządca zbił i wypędził mego pisarza...

— Patrzaj serce... a to zbrodniarz!..

— Cholera grasuje u mnie i w okolicach...

— Oj... Oj... cicho... cicho!.. Boże bądź miłościw..
jęknęła majorowa pobożnie zamykając oczy.

Byłem pewny, że szlachetna przyjaciółka, nie zechce już w bieżącym sezonie odwiedzić mego ubożego domku; skończyłem więc połowę interesu i obecnie pozostawało mi tylko wyjednać urlop dla siebie.

— Pojmujesz łaskawa pani, zacząłem na nowo, że w podobnych okolicznościach powrót mój do domu....

— Do domu?.. do szpitala cholerycznych?... Chryste panie co ten człowiek wygaduje! Ach nie rób tego mój ptaszeńku...

— Majorowo, pani Grzegorzowo uspokój się!..

— Jakże się mam uspokoić, kiedy dobrowolnie szukasz guza, kładziesz głowę pod miecz katowski... O moja doleńko nieszczęśliwa!..

— Ech, mościa pani, przerwałem jej z fantazją, widzę, że masz krótką pamięć!.. A któż to od jejmości odpędził słabość tamtej nocy.. może nie ja?.. Trzeba pani wiedzieć, że ja z cholera za pan brat, a więc i krzywdy od niej się nie boję. Cóż tak patrzysz, jakbyś mi nie wierzyła?..

— Wierzę ci serce, wierzę?.. Tak ci wierzę, że bym za tobą poszła gdzie pieprz nie rośnie i nie bałabym się żadnego szwanku ani na duszy, ani na ciele. Ale widzisz, z moim Sociem jeszcze nie skończony interes i dla tego nie możemy wyjechać.

— Cóż ja wam tu poradzę moja kochana pani?... zapytałem,—przygnębiony taką nieograniczoną ufnością osoby podeszłej.

— Jak to co?.. odparła spazmatyczka. Ty serce nie potrzebujesz radzić, tylko pójdiesz ze mną i z Soterkiem teraz oto zaraz do pana Bałwanowicza rozumnego i poczciwego adwokata, a on nam poradzi.... Tu się wszyscy rospływają nad jego zacnością, a ja mam przecucie, że dopiero ten człowiek wyprowadzi nas z kłopotów... No, nie marszcz się tak... weź czapkę pułkownika!..

Ponieważ zasadą wszystkich znakomitych strategików jest nie marnować sił na walki podjazdowe, milcząc zatem poszedłem nie tylko po czapkę jak życzyła sobie majorowa, ale jeszcze i po laskę. Ostatni ten dodatek uważałem za niezbędną, dla przekonania samego siebie o tem, że bądź co bądź nie siedzę jeszcze pod pantoflem nerwowej kobiety, z którą wdziesięć minut po naszej tak ożywionej rozmowie ostrożnie toczyłem do mieszkania adwokata. Soterek szedł przed nami, ja jednak nie spojrzałem nawet na niego, czując, że wkrótce ten mało rozwinięty chłopiec usposobi mnie do głębokiej nienawiści dla wszystkich sierot i małych, jacy kiedykolwiek egzystowali na świecie.

Całą drogę przyjaciółka moja starała się ubawić mnie, swemi wysoce filozoficznemi poglądami na moralną i ekonomiczną doniosłość sakramentu małżeństwa. Zajęty własnemi myślami, nie wiele zwracałem uwagi na jej prawdopodobnie bardzo wymowną i pouczającą argumentację, a natomiast z niecierpliwością wyglądałem kresu naszej filantropijnej pielgrzymki.

Jakoż niebawem dotarliśmy do niego.

Parterowy, ceglany domek jurysty stał przy ulicy Więziennej, akurat na tym samym placu na którym przed parąset laty dokonywano chirurgiczno-sądowych operacyj na indywiduach wykraczających przeciwko zasadniczemu prawom równowagi społecznej. Dowiedziałem się później, że nieruchomość ta, nie samo tylko położenie miała historyczne. Cegły z których ją wybudowano pochodziły z ruin starego trybunału rozebranego przed 30-tą laty. Wchodowe drzwi żelazne długi czas zabezpieczały celkę więzienia, które zajmował kiedyś jakiś bardzo sławny rzezimieszek. Kancelaryjne okno wytrawnego adwokata ozdobione było kratą wyjętą z archiwum akt dawnych, z kąd również pochodziły szafy, stoły i inne urzędowe sprzęty osobliwego domu.

Stanąwszy w tym punkcie globu ziemskiego, majorowa przeżegnała się, Soterek poprawił wiecznie odmawiające posłuszeństwa guziki u różnych części swojej garderoby, i, wszyscy za chwilę znaleźliśmy się w prywatnej świątyni jednego ze sławniejszych kapłanów prowincjonalnej Temidy.

Był to pokój duży, ponury, zasnuty pajęczyną, i co najważniejsza, koloru takiego jak twarz starej panny, któraby w 45-ej wiosnie dziewiczego żywota, przypomniała sobie, że istnieje choroba zwana bladaczką. Pokój ten upiększało kilka szaf zapełnionych aktami, trzy stoliki nakryte zielonem suknem, kilka krzeseł obitych skórą i dwu mężczyzn.

Gdyby egzystowała na świecie jaka fabryka specjalnie przeznaczona do wyrabiania urzędników sądowych, powiedziałbym, że dwaj ozdabiający kancelarją panowie, pochodzili z jednego warsztatu i należeli do jednego garnituru narzędzi sprawiedliwości. Na nie-szczęście nic nie wiem o tego rodzaju fabryce, a tem same m, wyrzekając się zacytowanego określenia, mogę tylko powiedzieć, że dwaj owi, niewątpliwie znakomici mężowie, byli do siebie tak podobni jak dwa egzemplarze Dziennika Praw wydane w tym samym roku i oprawione w okładki ze skóry tego samego bydłęcia. Łysiny ich były jednakowe, surduty jednakowe, chustki na szyjach jednakowe. Gdyśmy weszli, obaj jednakowo siedzieli przy swoich stolikach, tyłem obrócenii do nas; gdy skierowali ku nam swoje myślące oblicza, ujrzełiśmy znowu jednakowe nosy, oczy, okulary, faworyty i inne cechy charakteryzujące gatunek kręgowców dwunożnych zdolnych do przyjęcia dobrodziejstw cywilizacji. Krótko mówiąc, cała różnica między nimi polegała na tem, że kiedy jeden siedział po prawej stronie sali, to drugi po lewej; kiedy pierwszy spojrział na nas przez lewe ramię, to drugi przez prawe. Oto wszystko.

Znalazłszy się w tak trudnych warunkach fizjognomicznych, ukłoniłiśmy się każdy w kierunku najodpowiedniejszym: ja—grzbietowi pana z lewej strony, — majorowa grzbietowi pana z prawej strony, a Socio środkowemu stołowi. Następnie, wszystko troje, skombinowawszy uwagę, cierpliwość i pokorę,

w pozach jednakowych, jak przystało na jednostki znajdujące się w obec organów prawa, z pobożnem namaszczeniem wysłuchaliśmy następującej rozmowy.

Pan z prawej. Zdaje się, że przyśli interesanci?..

Pan z lewej. Zdaje mi się, że do pana mecenasa przyszli jacyś interesanci....

Okoliczność ta pozwala mi zatytułować pana z prawej strony.

Mecenas. Otwórz pan repertorium...

Pan z lewej strony. (Chwyta olbrzymi tom porubrykowanych manuskryptów i przewraca w nim karty z godną uznania skaplivością.)

Mecenas. A który tam numer panie Szczypka?..

Szczypka (dawniej pan z lewej.) 777...

Mecenas. Musi być jakaś głupia sprawa, ponieważ aż trzy razy przypomina mi siedem grzechów głównych. A co było poprzednio?..

Szczypka. 776. Joel Fisz *contra* Anastazy Badylek,—skarga o kradzież czterech śledzi i dwu bryłek soli...

Mecenas. Aha!.. A jeszcze wyżej?..

Szczypka. 775. Anastazy Badylek *contra* Joel Fisz skarga o potwarz....

Mecenas. Uuu do diabła!.. A jeszcze wyżej?..

Szczypka. 774. Małoletnia Joanna Wańtuchowska *contra* małoletniemu Szymonowi Młynarczyk skarga o gwałt...

Zapatrując się na rzeczy z punktu sprawiedliwości bezwzględnej, mało dbałem o to, czy mowa o skar-

dze Joela Fisz *contra* Anastazemu Badylek o kradzież, czy o pretensji Sotera Moździerznickiego *contra* losowi o lekceważenie jego przyszłości. Ale podeszłą moją przyjaciółkę znudził ten djalog, a może też własne jej milczenie, ponieważ oddawszy powtórny pełen gracji ukłon grzbietowi szlachetnego mecenasa, wyrzekła jak najbardziej uprzejmym głosem:

— Czy mam zaszczyt mówić z panem Bałwanowiczem?..

— Ja mam zaszczyt nim być... odparł majestatycznie prawoznawca i odwrócił się do nas lewym bokiem. Pan Szczypka zrobił to samo.

— Jestem Pudencjanna Moździerznicka...

— Panie Szczypka!.. przerwał mecenas, — pisz pan: Pudencjanna Moździerznicka w asystencji i za upoważnieniem swego małżonka działająca....

— To nie mąż szanowny panie mecenasie, to pułkownik. . zastępuje męża przez grzeczność.. zreflektowała uśmiechnięta Pudencjanna biegłego adwokata, który usłyszawszy te wyrazy wykręcił się ku nam jeszcze lepiej, podniósł okulary na czoło, uregulował w sposób bardzo uroczysty swoje naturalne narzędzia optyczne i tonem karcąco informującym odparł:

— W takim razie nie możemy mówić o interesach!...

— Dla czego, panie najlaskawszy?... pyta strwożona dama, gwałtownie mrugając oczyma.

— Pan Szczypka zacytuje odpowiedni artykuł, rzekł mecenas, i znowu odwrócił się tyłem.

— Artykuł 1124... recytuje Szczypka. Niezdolnymi do zawierania umów są: małoletni, bezwłasnowolni, mężatki w przypadkach przez prawo wymienionych i w ogólności wszyscy ci, którym prawo zabroniło wchodzić w pewne umowy....

Gdybym był pewny, że zdrowy, chłopski rozsądek obowiązuje uczonych adwokatów i ich dependentów, zaprotestowałbym niewątpliwie przeciw tak summarycznemu zastosowywaniu artykułu 1124; nie szczęściem, jest to kwestja której nikt dotąd nie rozstrzygnął, nie mogłem więc brać jej za podstawę do dyskusji. Wyręczyła mnie jednak stara dama:

— Ja *jeszcze* wdowa!.. ja *jeszcze* wdowa!.. zawołała z młodzieńczą werwą zacna matrona, akcentując przytem w tak szczególny sposób nieodmienną część mowy *jeszcze*, jak gdyby szanowne wdowieństwo swoje uważała za syzytowy kamień, który co rychlej należy zrzucić na barki pierwszego lepszego reprezentanta płci, stworzonej dla wyłącznej satysfakcji rodzaju żeńskiego.

Mecenas znowu odwrócił się do nas:

— Aha!.. W takim razie sprawa bierze inny obrót... wszak prawda panie Szczypka?..

— Artykuł 60 prawa o małżeństwie z roku 1836.. odpowiedział dependent. Małżeństwo ustaje: przez śmierć jednego z małżonków i wskutek wyroku władzy duchownej uznającego nieważność. Małżeństwo zaś nie spełnione fizycznie rozwiązuje się przez wstą-

pienie jednego z małżonków do zakonu i wykonanie tamże ślubu czystości....

— O... widzisz pani co nam opiewa kodeks?.. Litera prawa przedewszystkiem!... mówił skrupulatny Bałwanowicz. A teraz gotów jestem wysłuchać.

— Przychodzę w interesie tego oto Sotera Moździerznickiego mego wnuka....

— Zapewne małoletni? spytał jurysta.

— Tak jest szanowny panie, — ma rok siedemnasty....

— Artykuł 345, uzupełnia dependent. Małoletnim jest każda osoba, która jeszcze nie ma skończonych lat dwadzieścia jeden...

— O!.. zauważył mecenas w sposobie twierdzącym. Pani zapewne musisz być krewną nieletniego?..

Jestem babką i opiekunką.....

— Babka-opiekunka?.. Hum!.. Panie Szczypka, a co o tem mówi kodeks?..

— Artykuł 369, odpowiada Szczypka. Gdyby podług przepisów powyższych oddziałów, opieka nie była ani przy ojcu lub matce, ani przy obranym przez nich opiekunie, wtenczas należy z prawa do dziada z ojca....

— Ja jestem babką z ojca!.. przerywa z tryumfem Pudencjanna.

— Aha!.. potwierdza mecenas. No, ale cóż za interes pani dobrodziejka masz do mnie?..

— Chciałam się szanownego pana dobrodzieja poinformować co do mojego wuuka i wychowańca....

— Zapewne chodzi o usamowolnienie małoletniego. Panie Szczypka, jak mówi kodeks?.. przerwał domyślny tłumacz prawa.

— Artykuł 467 recytuje pomocnik. Małoletni jest usamowolniony z prawa przez małżeństwo, wyjąwszy przypadek w artykule 224 przewidziany....

— Czy obecny tu wnuk pani jest małżonkiem?... pyta mecenas.

— A niechże Bóg broni!.. protestuje dama.

— Więc nie jest. Panie Szczypka a jak tam?..

— Artykuł 468. Małoletni nie będący małżonkiem....

— Panie dobrodzieju!.. panowie dobrodzieje!.. woła zdesperowana Pudencjanna, — tu nie chodzi o małżeństwo....

— Aha—już rozumiem!.. przerywa doświadczony jurysta. Chodzi zatem o rachunek... Panie Szczypka, a jak tam kodeks?

— Artykuł 451. Każdy sprawujący opiekę powinien się rachować z jej sprawowania. Obowiązek ten....

— Nie o rachunek panowie... Boże zachowaj!.. lamentuje majorowa czując, że nie wolno jej zabrać głosu nawet dla przedstawienia swego własnego interesu.

— Więc chyba mówisz pani o jakiejś darowiznie na rzecz małoletniego? prawi znowu mecenas.

— Artykuł 440, pochwytuje niezmordowany dependent. Darowizna na rzecz małoletniego uczyniona, nie może być przez opiekuna bez upoważnienia rady familijnej przyjęta....

— Panowie!.. królowie!.. dobrodzieje!.. płacze zdenerwowana dama, pozwólcie ażebym wam przedstawiła sprawę....

— Artykuł 444, przerywa jej tym razem niepytany nawet Szczypka. Żaden opiekun nie jest mocen, bez upoważnienia rady familijnej rozpocząć imieniem małoletniego spraw w przedmiotach....

— Ach ja nieszczęśliwa!.. ach ja nieszczęśliwa!..

— Cytujesz pan niewłaściwy artykuł panie Szczypka, zgromił pomocnika adwokat. Głowę oddam, że chodzi o kapitały małoletniego!..

— Artykuł 441. Opiekun nie jest mocen, bez szczególnego upoważnienia rady familijnej, podnosić ani obciążać kapitałów hipotekowanych małoletniego.. odpowiada dependent.

Od tej chwili przyjaciółka moja zamilkła stanowczo. Pierwszy raz w życiu nieszczęśliwa ta dama musiała się uznać zwyciężoną przez mężczyznę w szermierce językowej, i jakby za karę swojej dotychczasowej niepowściągliwości w mówieniu, słuchać przez całe pół godziny oryginalnego duetu, w którym kolejno występowały na scenę: niezrównana domyślność adwokata w wynajdywaniu interesów jakie mieć mogła wdowa Pudencjanna Moździerznicka, i — mnemoni-

czne uzdolnienia utalentowanego dependenta, który każdy nieomal wyraz swego zwierzchnika zaopatrywał numerem i zlepiął z jakimś artykułem prawnym.

Przebiegłszy w ten sposób oba kodeksy, obie procedury i kilkanaście tomów Dziennika Praw, dwaj znakomici mężowie oświadczyli nam wszem w obec i każdemu z osobna, że sprawa Pudencjanny Moździerznickiej, wdowy, *contra* małoletniemu Soterowi Moździerznickiemu jej wychowawcowi, — nie może być popierana w żadnej z władz sądowych i że, co za tem idzie, nie może być odnotowana w repertorium adwokata Bałwanowicza, pod numerem bieżącym 777-ym.

Z konkluzji tej majorowa nie wiele dowiedziała się o specjalności do jakiej należałoby skierować fizyczne i duchowe uzdolnienia Soterka, — ja zaś wyniosłem to bolesne przeświadczenie, że zaledwie dwaj biegli prawnicy przegadać mogą jedną średniej elokwencji białogłową.

ROZDZIAŁ XIV.

W którym znajduje się najzupełniejsza rehabilitacja socjologów warszawskich.

Gdy, po powrocie z konsultacji prawnej do hotelu, zażądałem kluczy od mego pokoju, objaśniono mi, że numer jest otwarty, ponieważ siedzi w nim „ten młody pan, który przyjechał za państwem.“ Do

myśliłem się, że mowa o genialnym Postępowiczu, któremu, przy pierwszym debiucie, krytyka ofiarowała wieniec męczeński, a niesumienny wydawca 3 ruble i 26 kopiejek za 652 wierszy druku.

Melancholiczny publicysta rozgospodarował się na dobre. Leżał na mojem łóżku, palił mój tytoń z mojej własnej fajki, i co najdziwniejsza, wyciągnąwszy z zapieca nienabitą dubeltówkę położył ją na stole, obok swego fantastycznego kapelusza z kapłonem piórkiem i zepsutym termometrem.

— Na co u licha polowałeś asan bez ładunków? spytałem gościa, niekoniecznie zachwycony jego trybem postępowania.

— Niestety!... zbyt późno przekonałem się, że broń pańska nie ma nabojów.... odparł desperacko interesujący rekonwalescent, drapując się kłębami dymu.

— A co panu po nabojach?...

— Roześmiejesz się pułkowniku, lecz zarazem przyznasz mi rację, gdy ci powiem, że przekładam śmierć od kuli nad wszelką inną...

— Aha!..

— Los jednak i tym razem zawiódł mnie, ciągnął szczupły młodzieniec. Odnotowawszy moje długie wszedłem do pańskiego numeru, schwyciłem broń...

Tu zamilkł, pocierając sobie lewą dłońią okolice kości krzyżowej.

Proszę sobie wyobrazić następujące położenie: Soterek od kilku dni siedzi mi na karku w sposób ha-

niebny; — obiecujący literat w moim numerze medytuje o najłatwiejszym sposobie wydarcia się krajowemu piśmiennictwu; — odnowiona Pudencjanna marzy o ofiarowaniu mi swojej ręki, a w domu — rządca wypędza prowentowego pisarza!.. Zdaje się, że można było pomyśleć samemu o samobójstwie; a jednak... zapierając się własnego ja, postanowiłem rozzerwać utalentowanego gościa; — rzekłem więc:

— Spodziewam się, szanowny panie Hijacyncie, że już porzuciłeś zamiar odebrania sobie życia?..

— Wyborny jesteś pułkowniku!.. a cóż ja innego mogę zrobić?..

— Możesz naprzykład zacząć pracować na chleb....

— Aha... rozumiem!.. Chcesz mnie pan koniecznie namówić, abym się nanowo wziął do literatury?.. Nie głupim!..

Dziwna rzecz, że od kilku minut w umyśle moim nieustannie kojarzył się fakt wypędzenia mego pisarza, z apatją zdolnego Hijacynta, pod naciskiem więc takiej kombinacji pojęć odparłem:

— Boże uchwaj, nie myślę pana gwałtem zachęcać do literatury: jest przecież tysiące innych zajęć naprzykład.... naprzykład... gospodarstwo!.. O ile pamiętam, mówiłeś pan; że się znasz na gospodarstwie?

— Spodziewam się! odpowiedział Hijacynt. Ale.. na cóż mi się to przyda, kiedy ani piędzi ziemi nie posiadam?

— Hum! No, ale przypuścemy, że znalazłby się człowiek, który zapewniwszy panu stosowne wynagrodzenie, powierzyłby ci do zarządu folwark....

— Fe!.. folwark? Jaki szkaradny wyraz!.. mruknął wykrzywiając się publicysta. Chciałeś pan powiedzieć fermę?

— Niech będzie fermę. Ale cóżbyś pan z nią zrobił?

— Co?.. cobym zrobił?... wykrzyknął rozentuzjzmowany Postępowicz. Zrobiłbym ją zbiegowiskiem całego uczonego świata, środkiem ciężkości społecznego gospodarstwa, imię jej właściciela pchnąłbym do najodleglejszej potomności!.. To mówiąc, nieśmiertelny Hijacynt zachowywał się tak, jak człowiek dla którego chodzenie jest niewygoda, a siedzenie torturą.

— Jakimże sposobem zrobiłbyś pan to wszystko, co obiecujesz?

— Jakto jakim? Bardzo prostym: fermę tę uczyniłbym polem moich socjologicznych badań.

— Socjologicznych... socjologicznych?.. słyszałem, że bardzo wielu literatów warszawskich zajmuje się socjologją?..

— Tak jest,—odparł młody Brutus. Dotąd głównie zajmowaliśmy się emancypowaniem kobiet, niwelowaniem klas towarzyskich, reformowaniem piśmiennictwa, tudzież wyplemianiem przesądów społecznych i religijnych. Ja dopiero pierwszy skiero-

wałbym swoją działalność na pole gospodarstwa rolnego.

— Hum! Jakichże u diabła środków używacie do rozstrzygania tak ważnych kwestji?

— Bardzo pewnych... bardzo wyprobowanych!.. Zawsze i wszędzie posługujemy się metodami pozytywnymi.

— Mocno byłbym panu obowiązany, gdybyś mnie zechciał poinformować co do owych metod.

Genijalny młodzieniec rzucił na mnie wzrok pełen niewyraźnego jeszcze, ale już kielkującego majestatu; nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że umysł mój w tej chwili miał objąć taką masę prawd, jaką trudno byłoby pomieścić we wszystkich bibliotekach.

— Zapewne chciałbyś pułkownik sięgnąć odrazu do tego co stanowi jądro kwestji?..

— Naturalnie!.. naturalnie!...

— Otóż powiem panu krótko, że jądrem metody, a raczej jądrem filozofji pozytywnej jest to, aby... to jest tego... właściwie mówiąc.... Widzi pan... metoda, a raczej filozofja pozytywna jest do scharakteryzowania bardzo trudna!..

Pot, występujący na twarz i czoło znakomitego uczonego, był najwymowniejszym dowodem trudności scharakteryzowania metody pozytywnej; z takim powodzeniem używanej przez socjologów warszawskich, do rozstrzygania wszystkich zawiłych pytań społecznych. Lękając się tedy, aby zdolny Hijacynt nie

zechciał przyobiecane mi jądra kwestji rozcieńczyć całym ogromem swej niepospolitej erudycji, rzekłem:

— Wracając tedy do naszego folwarku, racz mnie pan objaśnić, jakiej natury byłyby te badania, które pragnąłbyś wykonywać?..

— Z największą chęcią!.. odparł uprzejmy filozof. Badania... badania moje składałyby się z szeregu obserwacji i eksperymentów....

— Eksperymentów?.. Uhu!... Przyznaję, że wyraz ten okrutnie mi się nie podobał.

— Obserwacji i eksperymentów socjologicznych, powtórzył jakby na pocieszenie mnie Postępowicz.

Pomyślawszy chwilę, odpowiedziałem:

— Posłuchaj mnie panie Hijacyncie. Dam ci folwark czy też fermę, przy niej utrzymanie i pensyjkę, ale pod tym warunkiem, ażebyś pan robiąc wszelkie obserwacje jakie ci przyjdą na myśl, wykonywał eksperymenta tylko te, które zaproponuję panu ja sam, lub mój rządca...

Postępowicz, usłyszawszy to, zrazu zmarszczył się, lecz po krótkim namyśle przyjął warunki i podał mi rękę na znak zgody.

— Rozumie się, dodałem, że rezultaty swoich naukowych poszukiwań, będziesz pan łaskaw zapisywać w księgach na ten cel sporządzonych. Obeznać się z niemi bardzo łatwo...

— To dla mnie zbyt cenne! przerwał Postępowicz.

Mam swój własny plan, który mogę nawet panu zakomunikować.

— Bardzo ciekawy?

— Naprzód badania moje podzielę na dwa momenta: statyczny i dynamiczny,—objasniał mnie literat straszliwie wymachując fajką, co prawdopodobnie służyło do uzewnętrznienia głębokiej a zarazem szybkiej pracy jakiej w tym czasie oddawał się jego uniwersalny umysł.

— Jak pan to rozumiesz?

— Pod momentem statycznym rozumiem badania odnoszące się do bytu, ilości i jakości terytorjów, zabudowań, maszyn, tudzież różnych gatunków istot żywych stale zamieszkujących w tem miejscu.

— Cudownie! wyrzekłem. Będę panu bardzo wdzięczny, jeżeli sumiennie dopilnujesz porządku w moich zabudowaniach i maszynach. Co do terytorjów, które my zazwyczaj mianujemy polami, łąkami ogrodami i t. d. będziesz pan obowiązany...

— Wiem już co... wiem!.. Oznaczyć ich położenie geograficzne?..

— O to mniejsza, ponieważ nierównie ważniejszem jest aby terytorja owe były starannie wynawożone, obrobione,—a w końcu aby po nich swoje i cudze bydło nie plądrowało...

Publicysta krzywił się, ale słucał, ja zaś mówiłem dalej:

— Co do istot organicznych, zwrócisz pan wyłączną uwagę na ludzi, zwierzęta domowe i rośliny użyteczne. Będziesz obserwował czy parobcy nie piją, nie próżnują, a nadewszystko niekradną; będziesz badał czy zwierzęta codziennie są karmione i pojone, a stajnie, obory i chlewy oczyszczone. W czasie studjów nad roślinami dopilnujesz pan, aby bandochy dobrze żęli i w bruzdach nie spali, — aby porządnie wycinano kapustę, kopano kartofle...

Postępowicz ciągle się krzywił.

— Ale... ale!.. dodałem,—a co kochany pan nazywasz momentem dynamicznym swoich badań?...

— To zdaje się jest dość jasne, — odparł niechętnie socyjolog. Momentem dynamicznym nazywam wszelki ruch, wszelką zmianę.. Tak naprzykład narodziny i śmierć...

— Iii... to tylko będziesz pan potrzebował notować liczbę przybywających na świat cieląt i źrebiąt,—bo drób' i prosięta należą do gospodyni, a psy do psiarczyka.

— A ludzie? spytał znakomity publicysta, bardzo kwaśnym akcentem.

— Ludzie? Wiesz pan przecież, że notowanie śmiertelności i narodzin między ludźmi należy do urzędnika stanu cywilnego; przyjmowaniem zaś i oddalaniem służby zajmuję się ja sam.

— Hum! hum!... odchrząknął Hijacynt. Jakież wynagrodzenie ofiarujesz mi pan?

— Powiedziałem już, że dam mieszkanie jedzenie, pranie, opał, światło i... jak dla pana... 600 złotych pensji rocznej.

— Co?... krzyknął zirytowany literat, więc pan chcesz mnie zrobić u siebie pisarzem prowentowym?..

— Fe! odpowiedziałem, egzaltujesz się panie Hija-cynciel!.. Wprawdzie, posadę o której mówimy zwykle nazywają pisarstwem, — nie idzie jednak zatem, ażebyś pan miał nosić ten tytuł. W twojem własnem przekonaniu, w opinii mojej i wszystkich osób miłujących postęp ludzkości, pan będziesz filozofem badającym, pod względem statycznym i dynamicznym, socjologiczną molekułę nazywającą się fermą, lub po dawnemu folwarkiem, a stanowiącą cząstkę ogólnego kapitału...

Pomimo całej radości, jaką czuł niewątpliwie młody socjolog, widząc otwierające się przed sobą szranki dla uczonych dociekań, zauważyłem, że miał jakąś bardzo przygnębiającą fizyognomję; na pocieszenie go więc dodałem:

— Wszak prawda kochany panie, że owa socjologia jest całkiem nową nauką?

— Tak!.. potwierdził słabym głosem były literat.

— Otóż tedy, jeżeli tak jest, i jeżeli, jak nas uczy historja, nad zawiązkami astronomji pracowali myśliciele zajmujący skromne stanowisko pasterzy,— dla czegóżby więc nad zawiązkami socjologji nie mieli pracować myśliciele, czasowo pełniący obowiązki



— Co.. więc pan chcesz mnie zrobić u siebie pisarzem prowentowym? (str. 166).

pisarzy prowentowych?.. No, powiedz pan, czy nie mam racji?...

— Proszę o parę dni do namysłu... zamiast odpowiedzi wyszeptał utalentowany Postępowicz,— a następnie ująwszy swój szczególny kapelusz, wyszedł.

Nikt nie powinienby się czuć obrażonym gdy powiem, że czytając tylko pisma zajmujące się szkoleniem socjalnych teorii wynajdywanych przez niektóre wprawdzie bardzo młode lecz zapewne wysoce uzdolnione indywidua z gatunku literatów, miałem o nich dotąd wyobrażenie jak najgorsze. Ale świeża rozmowa z uczonym Hijacyntem, a nadewszystko jego statyczne i dynamiczne poglądy na gospodarstwo wiejskie, w jednej chwili obaliły kilkoletnie moje uprzedzenia. I na honor! trudno nie sympatyzować ze szkołą socjologów warszawskich, która wcześniej lub później dostarczy krajowemu gospodarstwu znakomity kontyngens mężów, co nie mogąc wprawdzie (z powodu okoliczności miejscowych), kierować losami społeczeństw, w każdym razie oddadzą ludzkości nie-spożyte usługi, jako pełni filozoficznych poglądów pisarze prowentowi, do czego tylko ludzie stanowczo nieprzychylni i złośliwi odmówić by im mogli najzupełniejszej kwalifikacji.

ROZDZIAŁ XV.

W którym jest mowa o lekarzach, lekarstwach, a nawet o rzeczach mających związek z psychologią.

Dziś zjadłem obiad bardzo lichesy, i czuję, że go nie będę mógł strawić przez dni kilka. Skutkiem tego zamiast drzemać po południu, jak to czynią wszyscy ludzie, cieszący się pewnym i wystarczającym dochodem od swoich kapitałów, ja muszę myśleć, rozmyślać, przewracać się z boku na bok, a to wszystko dla tej drobnej okoliczności, że pannie Pudencjannie przyszła fantazja wyjść za Grzegorza Moździerznickiego, wychować z nim (oprócz jedenastu innych dzieci) syna Ksawerego, że w dalszym ciągu temuż Ksawierowi podobało się ożenić, mieć syna a w końcu osierociwszy takowego zwalić mi go na kark wraz z babką.

Z tych wychodząc pobudek mam zaszczyt zawiadomić wszystkich kogo to obchodzi, że jestem niewyspany, zgryziony, zirytowany i że dziś w wieczór, (o godzinę mniejsza), powiem jasno i dobitnie starej damie że... że tak dalej zostać jak jest, nie może. Ja tu wiekować nie myślę, żeby tam najjaśniejsze pioruny trzaskały!..

Zrobiwszy to mocne i nieodmienne postanowienie, czuję, że mi lżej; mam więc prawo przypuszczać że mi będzie jeszcze lżej, gdy stara dama z mego są-

siedztwa wyjedzie do swoich dóbr, a ja z jej sąsiedztwa wyjadę do moich. Jestem pewny, że do wykonania tego, energii mi nie zabraknie, nic więc nie pozostaje, jak tylko plan ułożyć...

Naprzód tedy... naprzód obmywam sobie głowę zimną wodą. Zimna woda jest nieocinionem lekarstwem we wszystkich okolicznościach silniej oddziaływających na umysł i serce. Jeden z moich przyjaciół, całe życie szczęśliwy w miłości, do 60 roku cieszył się względami płci pięknej dla tego tylko, że dwa razy dziennie mył sobie głowę zimną wodą, a kolumnę pacierzową nacierał mokrym ręcznikiem.

Powtóre, trzeba ochłoniąć ze zbytznego zapału i rozgorączkowania. Ani na chwilę nie wątpię, że gdybym był lekarzem, to po kilkudziesięcioletniej praktyce doszedłbym do tej niezbitej prawdy, iż najwięcej osób umiera, waryjuje, pisze wiersze, kocha się, żeni się i t. d. pod wpływem chorób gorączkowych.

Po trzecie—wychodzę na przechadzkę. Zbawionych skutków przechadzki doświadczył na sobie jeden z moich krewnych mający niepospolitą skłonność do utraty władzy w nogach. Jak tylko zaczął dużo chodzić, zaraz zrobiło mu się lżej, nieszczęściem jednak zaczął zbyt późno i dla tego po upływie jednomiesięcznej kuracji, na wieki pożegnał się ze swojemi nogami.

Po czwarte, idąc na przechadzkę mającą pokrzepić siły przed rozegraniem się tak ważnej jak moja sprawa, staram się o niej nie myśleć, doświadczenie bowiem uczy nas, że zazwyczaj najlepiej powodzi się w interesach tym, którzy nigdy nic nie myślą i żadnych planów nie układają.

A teraz odpocznę sobie kilka minut. Ot tak!... A teraz znowu w drogę z powrotem. Znajduję, że natura w tym miejscu jest bardzo piękna i może nawet w najzatwardzialszem sercu obudzić stosowne uczucia... Czy majorowa wyjedzie, czy nie wyjedzie?... ale nie myślmy o tem!! Trawa na łąkach jest zielona, a pasące się trzody mają bardzo swobodną fizjognomję. . Jeżeli mnie majorowa nie wysłucha dziś, to ucieknę od niej, sprzedam do miliona djabłów majątek żydom i wyjadę za granicę... Ale nie zajmujmy się tem!... Ciekawy jestem dla czego obłoki mają niejednakowy kolor i... na kogo jeszcze ogląda się moja przyjaciółka? bo przecie już nam wszyscy radzili!... Aha! zdaje mi się, że wschodzi kawałek księżyca... Gdyby mnie zapytano: czy wierzę w istnienie gór na księżycu? odpowiedziałbym... no odpowiem tak: moja pani, wyjeżdżaj ztąd, bo życie w mieście jest bardzo drogie, bo lato przyjemniejsze na wsi, bo... Aj do licha!.. już widzę drzwi od numeru majorowej... Wejść, czy nie wejść?... Zdaje się, że mam dostateczny zapas zimnej krwi?... Ależ tak! nigdy nie czułem się energiczniejszym jak dzisiaj, choć co prawda wolałbym w tej chwili stać przed pruskiemi baterjami...

No, śmiało! przecież chyba nie jestem zmieszany?... Ależ tak, ależ tak!. Gdyby zamiast olejnej farby przybijano na drzwiach zwierciadła, jestem pewny, że w tej chwili ujrzałbym przed sobą mężczyznę o bardzo miłej powierzchowności, na którego twarzy obok wyrazu niezachwianego spokoju zarysowuje się do brotliwy uśmiech... No! raz... dwa... trzy!..

Wchodzę... wszedłem... O nieba! pokój majorowej podobniejszym jest do świeżego pobojuwiska, niż do gabinetu w którym mają się toczyć przyjacielskie układy!..

Osądźcie sami:

Na środku kłęczy Soterek z twarzą wprawdzie zapłakaną, lecz nie zdradzającą bynajmniej usposobienia do pobożnych rozmyślań; natomiast stojące obok krzeselko wygląda tak, jakby ktoś na nim chciał upoziomować istotę ludzką, wbrew jej najusilniejszej protestacji...

Majorowa w pozycji pół leżącej zajmuje kanapę: ma minę zwycięzkiego wodza, który w świeżo stoczonej bitwie straciwszy większą połowę najlepszych żołnierzy, dostał bólu głowy i leczy się okładami z octu. Obok niej dwa połamane kije zdają się, z oznakami największego przerażenia, oczekiwać chwili, w której znowu wprawna ręka energicznej damy zmusi je do najściślejszych stosunków z zaokrągloną zewnętrzną płochą Socia.

— Patrzaj pułkowniku!.. wrzasnęła ujrawszy mnie zdenerwowana osoba, patrzaj!.. On się kłaść nie

chciał!.. On się bić nie dał!.. Alem mu w końcu sprawiła bal i teraz jeszcze poprawię!...

Z temi słowy popędliwa staruszka schwyciła połamane kije, okazując niekłamana chęć do powtórzenia ćwiczeń moralnych na materialnej stronie indywidualności swego wnuka.

— Fiu!.. już po moich planach!... pomyślałem obejmując otyłą damę i sadzając ją na kanapie. Potem zaś, dla umitygowania spytałem głośno:

— Cóż się to stało?.. Za cóżeś mu jejmość takie imieniny wyprawiła?

— Jak to, więc jeszcze nic nie wiesz pułkowniku?.. Taż ten łotr, ten zbój, ten antychryst, ten... ten podpalacz rzucił dziś całe poobiedzie kamieniami i jakiegoś żyda skaleczył!... Ach ty zbrodniarzu, ja ci tu.....

I znowu zerwała się do bicia.

— Daj mu jejmość pokój! rzekłem mitygując powtórnie staruszkę. Odłóż sobie tę satysfakcję na później, bo teraz wydajesz mi się ogromnie zmęczoną...

— To niech mi ten... ten potwór zejdzie z oczu, bo jak cię kocham pułkowniku tak go skaleczę!..

Usłyszawszy taki przekonywający argument, wyrostek zerwał się jak oparzony i w jednej chwili znikł za drzwiami. Nie wiem nawet napewno czy je otwierał.

— Ach co ja z nim pocznę nieszczęśliwa!.. ach co ja z nim pocznę?... biadała majorowa. Chłop jak

dąb, uczyć się nie chce, rady żadnej od nikogo doprosić się nie można.. U.. hu! hu! hu!.. Chybaby go już oddać do wojska, niech tam idzie na złamanie karku! od jutra zaraz zaczniemy się starać żeby go przyjęli.. U... hu! hu!...

Obfity deszcz łez,—spływający wszystkimi bruzdami, jakie nieubłagany czas na obliczu starej przyjaciółki wyorał,—wymownie świadczył o tem, że minęła już gromonośna burza. Ale ostatni frazes zirytowanej damy przekonał mnie, że o wyjeździe z miasteczka nawet mowy być nie może; znowu więc obudziły się we mnie myśli ponure.

— Oj! oj! oj!.. płakała tymczasem Pudencjanna. Skonam!.. Umrę!.. Zachoruję.. jeżeli temu łotrowi drugi raz nie dam cięków!..

— Sądzę, kochana pani,—wtrąciłem,—że nie źle byłoby doktora poprosić, jeżeli czujesz się niezdrową?

— Owszem serce, owszem!.. Poproś doktora, ale... swoją drogą muszę go zbić jeszcze, o muszę!..

Nazbyt interesowało mnie zdrowie szanownej damy, abym się mógł ociągać z zadowoleniem jej żądań. To też szybko wybiegłem do sieni, poruszyłem cały hotel od piwnic aż do strychów, połowę męskiej ludności wysłałem po doktora, całą służbę żeńską wyprawiłem do majorowej, — sam zaś niechcąc przez delikatność wchodzić do pokoju chorej damy, wstąpiłem do izdebki właściciela hotelu.

— O to dopiero wisus chłopak! zaczął gospodarz pobożnie przymykając oczy. Ściany i dachy popsuł mi kamieniami, żyda okaleczył i w dodatku tak ciężko babkę zmartwił. Och Maryja!

— Czy nie przypuszczasz pan, — rzekłem,—aby poszkodowany skarżył się przed władzami?..

— A jemu co potem, panie dobrodzieju?.. To biedny żyd, a na biednych i psy głośniej szczekają. Tak już świat nastał, och Maryja!..

— Na honor! dałbym chętnie 10, a nawet piętnaście rubli, gdyby można było tego łotra nastraszyć interwencją władz policyjnych..

Zacytowana przezemnie cyfra podobała się widać gospodarzowi, który po krótkim namyśle odpowiedział.

— Wie pan półkownik dobrodziej, że to będzie można zrobić. To nawet będzie bardzo po chrześcijańsku, bo się poprawi chłopaka!.. Naturalnie, że figiel objaśnimy pani majorowej. Och Maryja!..

— Ofiarowałbym 20 rubli, gdyby majorowa nie wiedziała o figlu, i... gdyby ten niedobrego mógł już jutro ztąd wyjechać. Miasto bardzo psuje takich wyrostków...

Prawdopodobnie gospodarz uznał, że nowa cyfra jest jeszcze okrąglejszą, bez namysłu już bowiem odparł:

— I to się da zrobić!.. Ważną rzeczą jest uratować duszę ludzką od zguby. Och Maryja!..

— Tak panie, — potwierdziłem, — mielibyśmy obaj zasługę. O której ze godzinie możnaby się spodziewać rezultatu?..

— Jutro, najpóźniej o 9-ej... Tak jest, mamy obowiązek to zrobić.. Och Maryja...

— Liczę na pana!.. Co zaś do reszty, ta... po wyjeździe...

W tej chwili wszedł numerowy i z całą uprzejmością człowieka liczącego na cudze złotówki, rzekł:

— Jaśnie pani prosi jaśnie pana, że doktor już przyszedł!..

— Zdaje mi się, kochany przyjacielu, — pomyślałem, — że to już chyba po raz ostatni udało ci się tak szczęśliwie połączyć nasze tytuły...

Gospodyni i jej siostrzenica, kucharka i jej córka, pomywaczka i jej siostra, wzdychając każda na swój sposób, kołem otaczały znacznie już spokojniejszą majorowę, którą badał i pocieszał jakiś gruby i łysy jegomość, wygolony jak dynia. Domyśliwszy się, że musi to być jeden z miejscowych spadkobierców Hipokratesa, schyliłem głowę przed prawdopodobnym ogromem jego wiedzy, mającej (jak tysiące innych) wyłącznie dobro ludzkości na celu, i, słuchałem.

— Prawdziwe szczęście, że mnie lokaj zastał w domu, mówił ogolony kapłan Eskulapa, — czy nie prawda moja pani Markierowicz, he? Gdybyście tak trafili na Lancetowskiego lub Sodowicza, już by ju-

tro trzeba było obstalowywać trumnę, — co kosztuje nierównie drożej niż zimny okład, a choćby i łyżka oleju... A co pani Markierowicz, czy nie mam racji?

To powiedziawszy, doktor zaczął z upodobaniem przypatrywać się swoim spodniom w kratkę, zapytana zaś z największą skrucą wyszeptała:

— Pan konsyljarz dobrodziej zawsze... O dobry Boże!...

— A w boku was nie kole, hę?... A żołądek zapchany, co?... Pokaż-no pani język?... Czysty!.. Puls?.. trochę przyspieszony ale to nic!.. Zawsze głośno utrzymywałem, że Lancetowski jest rzeźnik i że gdybym ja był jego ojcem, to posyłałbym go na naukę nie do akademji, ale do włobojni. Powiadasz pani, że gdyby to słyszał, mógłby mi proces wytoczyć, hę? Ale nie bój się pani, ostrożny on! bo bym mu przypomniał, że robił cięcie cesarskie w przypadku wodnej puchliny.... Cha! cha! cha!.. Pani to rozumiesz hę?.. wszyscy felczerzy kiwali głowami, a o aptekarzach niema nawet co mówić! Stary Proszkowski umarł ze śmiechu, jak się o tem dowiedział. Co pani Markierowicz, może nie prawda, hę?..

— Jezus, Maryja! westchnęła moja przyjaciółka.

— Tak, tak!.. On umie tylko krajać, a Sadowicz mikstury zapisywać. To też aptekarze wyrabiają dla Sadowicza lekarstwa rokiem naprzód, całemi szaflikami,—bo kiedy po przyjeździe do nas zapisał pierwszą receptę dla ośmioletniej panienki, — to we wszy-

stkich aptekach zabrakło wody dystylowanej. Jak pani o tem myślisz, he?.. Ja zaś panie dobrodzieju przepisuję moim chorym ruch, sen, dobre jadło i czasem olej ricinowy,—za to też żaden farmark nie wydaje dla mnie balów, ani mi nawet na nowy rok nie winszuje. Jak się to pani podoba, he?..

Gdy bystre oko znakomitego lekarza powtórnie utoneło w labiryncie krated, żona właściciela hotelu wtrąciła:

— Święta prawda, pan doktor bardzo szczęśliwy... O dobry Boże!...

— Djabła tam! Mówić doktorowi, że jest szczęśliwym znaczy to samo co nazywać kominiarza umytym, a adwokata uczciwym. Kiedy jest praktyka, to pani nie masz dnia ani nocy spokojnej, pani nie dośpisz, pani nie dojesz,—tylko ciągle musisz dreptać od łóżka do łóżka, albo z wozu na wóz przeskakiwać jak kangur. A pani myślisz, że co z tego?.. Wykurowałaś dajmy na to Pawła, Gawła, djabła, na trzy lub cztery lata, i cóż z tego?.. On zdrów jak byk, a pani możesz zdechnąć z głodu i nikt pani szklanki wody nie poda. Dopiero znowu gdy pan Bóg da cholerkę albo tyfusik...

— Oj głowa!.. głowa!.. jęknęła moja przyjaciółka widocznie zgnębiona tak radykalną kuracją.

— Boli głowa?.. to dobrze!.. Zimne kompresy i łyżka lub półtorej łyżki oleju. Tak półtorej!.. ale jeżeli się można będzie obejść bez tego, to lepiej. Błogosławiony ten kraj w którym aptekarze muszą

żydom wodę nosić dla braku zajęcia... Czy nie mam racji moja pani Markierowicz, he?

— Pan doktor zawsze trafnie leczy... O dobry Boże! szepnęła gospodyni widząc, że znowu lekarz poczyna zastanawiać się nad kratką swoich spodni.

— Dobrze, dobrze!.. Spytaj-no się pani szanownych kolegów albo aptekarzy, co oni powiedzą: suchej nitki na mnie nie zostawią, a za co?... Myślisz pani żem ich na konsylija nie wzywał? Ale!.. Częściej niż było potrzeba!.. A może pani myślisz, żem aptekarzom szkodził? Gdzież tam!.. Nim ja tu nastąpiłem była jedna apteka i szło jej kulawo, a po pięciu latach mego pobytu otworzono dwie nowe i jeszcze nie mogli wydażyć. A pani myślisz, że gdybym ja zachorował to co by oni robili... he?... Pani to rozumiesz?..

— Szmer zgrozy przeszedł po niewieścim zebraniu.

— A tak, tak!... parę niewinnych kropelek i wio do lali!.. No, zakończył nieszczęśliwy lecznik, zimne kompresy na głowę i trochę oleju jeżeli okaże się potrzeba. A teraz kładź się pani do łóżka i dobranoc!.. Trzeba iść między izraele po sześciogroszówki za receptę, a po złotówki za operacyje...

Serdecznie uściśniętem rękę znakomitego pesymisty, który przez nienawiść dla aptekarzy, niezabijał pacjentów lekarstwami, ale gadatliwością. Wprawdzie dla chorych może to być obojętnym, ale dla familji najwyraźniejsza oszczędność.

ROZDZIAŁ XVI.

Okazujący jakim sposobem w walkach dyplomatycznych,
jedni sięją a drudzy zbierają.

Gwałtowny spór między kilkoma osobami, i wojownicze tupanie pewnej liczby nóg, przeplatane niepokojącemi pauzami, w czasie których z całą łatwością można było usłyszeć trwożliwy brzęk skrzydeł spłoszonej muchy,—oto wrażenia, które dzisiejszego poranku zaatakowały moją rozespaną świadomość. Rozmarzony, w pół nieprzytomny, usiadłem na łóżku i w tej pozycji z jakąś rozkoszną obawą zacząłem się przysłuchiwać dramatowi, który rozegrywano na korytarzu.

— Uciekaj!.. mówił zirytowany stróż hotelu,— uciekaj!.. bo jak cię przezegnam tem miotliskiem, to na kierkut nie trafisz...

— O!.. czyś słyszał?.. dodaje numerowy.

— Joelu powiadam ci, nie rób awantur... och Maryja!.. zakonkludował Markierowicz.

— Panie Markierowicz dobrodzieju!.. panie Kacprze dobrodzieju!.. po co panom wtykać palce w taki brzydki interes? Ja nie przyszedłem do panów, tylko do starej pani, niech ona ze mną pogada... molestował jakiś starozakonny.

— Joel iść do pani majorowej nie może, bo pani majorowa jest chora... och Maryja!..

— Co to chora? co to nie może?.. A jej syn to może zabijać kamieniami żydków?.. Pani chora, nu— to wielka szkoda!—ale jak mój brat umrze z takiego zabójstwa, to kto jego dzieci będzie karmił? Ja przecież pani nie zjem, tylko z nią pogadam... Nu,— a jak pani nie zechce, to ja pogadam z panem komisarzem i prześwietnym sądem...

— Hum! przerwał gospodarz. Może Joel ma trochę racji, ale w hotelu hałasów robić nie wolno. Jak pani majorowa wstanie, to się Joel będzie mógł z nią zobaczyć, zatem tedy tymczasem... niech Joel posiedzi u mnie. Proszę!... Och Maryja!..

— No, no!... odparł starozakonny i jednocześnie usłyszałem kroki rozchodzących się bohaterów.

— Kochany Markierowicz!... pomyślałem,—jakże się ten człowiek znakomicie popisuje!.. Muszę jednak i sobie oddać sprawiedliwość, że nie darmo od kilkunastu lat studjowałem politykę... Majorowa mnie wprawdzie przekrzyczała, ale ja ją przedyplomatyzywałem,—jak Bismarck... Cha! cha! cha!...

I ciesząc się własną zręcznością, z gorączkowym pośpiechem wkładałem rozmaite części ubrania.

— Pułkowniku!... pułkowniku serce, a otwórz tam drzwi!... prosiła przytłumionym głosem moja przyjaciółka.

Gdym otworzył, jednym rzutem oka poznałem całą, istotnie piorunującą doniosłość mego podstępu. Poważna dama była jeszcze bosą i miała na głowie

łakoś strasznie na bakier osadzony bufiasty czepiec. Siny ze strachu Soterek ubrawszy jedną nogę w but, następnie, starał się uzupełnić swój kostjum wciągając na grzbiet kamizelkę do góry podszewką.

— Pułkowniku, czyś słyszał?.. Pułkowniku co to będzie?... Oni chcą tego robaka wsadzić do kryminału, ach ja nieszczęśliwa!..

W tej chwili uchyliły się drzwi od korytarza i wszedł Markierowicz w towarzystwie numerowego, który z niepraktykowaną dotąd gorliwością zajął się słaniem mego łóżka.

— Upadam do nówek państwu... och Maryja!.. zaczął gospodarz zwracając się do mnie i majorowej. Smutną przynoszę nowinkę... och Maryja!.. Brat skaleczonego żydka występuje z pretensjami...

— O mój Boże, mój Boże!.. szepnęła stara dama, poprawiając tak gwałtownie czepek, jakby przy tej sposobności miała zamiar ukręcić sobie głowę.

— Myślę jednak ciągnął Markierowicz,—że sprawa dałaby się zakończyć polubownie, ale...

— Owszem! owszem!... wtrąciła majorowa.

— Ale żyd niedowiarek grubo śpiewa i chce tyśiąc złotych... Och Maryja!...

— Aaaa... aaa!... jęknęła dama dwoma różnemi głosami. Teraz już zginęliśmy na wieki!...

— Zapewne,—jest to wielkie nieszczęście... Och Maryja!..

Nadzieja swobody tak mnie denerwowała, że się już niecierpliwił komedją ostrożnego gospodarza; uprzedzając go więc, rzekłem:

— Zróbmy tak, kochana majorowo. Pani z Sotciem wyjedziesz natychmiast do siebie, a ja żyda załagodzę. Czy nie prawda panie Markierowicz, że to jest dobry plan?...

— Doskonały, panie pułkowniku, jeneralski plan!.. Pani majorowa najlepiej zrobi gdy zaraz wyjedzie, bo jak facecja ta gruchnie między żydami, to się zleca hurmem i jeszcze mi hotel spala... Och Maryja!..

— Oj! oj! oj!... lamentowała osoba dobrej tuszy. Jedźmy natychmiast!.. bez śniadania, bez niczego... bo jak się żydzi dowiedzą, to z pewnością tego sierotkę zakłują na macę...

— Tak będzie najlepiej, uzupełnił Markierowicz zacierając ręce,—byle tylko pan pułkownik chciał się podjąć załagodzenia sprawy... Och Maryja!..

— Naturalnie, że ją załagodzę! odparłem! Tymczasem zaś, każ kochany panie Markierowicz założyć konie majorowej i pilnuj żydka, żeby się do miasta nie wymknał...

Wprawdzie niektórzy powieściopisarze, mający o swej domyślności bardzo pochlebne wyobrażenie, sądzą, że z jednego słowa, z jednego ruchu, a nawet ze sposobu noszenia butów odgadnąć można zamiary i charakter człowieka. Otóż mocno byłbym obowiązany, gdyby mi który z tych tak szczęśliwie od natury uposażonych panów, dowiódł w sposób popularny,

czego naprzykład domyślać się była powinna majorowa z ukłonu, jaki na pożegnanie złożył jej Markierowicz? Ja bo przynajmniej, oprócz tego, że nasz kochany gospodarz używa wykrzywionych obcasów, nic więcej odgadnąć nie mogłem.

— O mój Boże, mój Boże!.. biadała stara jejmość szybko upakowując swoje ruchomości,—i cóż ja nieszczęśliwa pocznę teraz z tym smokiem?.. On już na wieki zgubiony!..

Wiedząc bardzo dobrze, że pod nazwą smoka rozumiała stroskana babka Socia, — napastowany przytem od własnego sumienia, które już w tej chwili poczęło mi wyrzucać mój w gruncie rzeczy wcale niewinny podstęp, rzekłem jej na pożegnanie a zarazem na pociechę:

— Nie martw się kochana pani!.. Jeden z moich siostrzeńców jest nauczycielem przy gimnazjum we Lwowie; otóż napiszę do niego w interesie Socia, a po odebraniu przychyłnej odpowiedzi, jeszcze w tym roku wyekspedujemy chłopaka do szkół. Może za parę lat i z niego co wyrośnie!..

— Niech cię Bóg błogosławi! zawołała majorowa z płaczem obejmując mnie za szyję; potem zaś dodała:

— Sociu zbrodniarzu!.. padnij do nóg, ucałuj ręce twemu dobroczyńcy, który nie dość że cię wybawił z rąk żydowskich, ale jeszcze chce za tobą do Lwowa pisać... Mój Boże, taki kawał drogi!..

Zachmurzony Socio jak najserdeczniej obtarł swój pałkowaty nos o oba moje rękawy, a nadto (gdy-

bym nie był pewny, że hotelowe lustra wszystko odbijają fałszywie), mógłbym jeszcze pomyśleć, że niezgrabny ten chłopiec na zakończenie wywiesił mi swój obrzydliwy język.

Gdy w parę minut po tem wehikuł, unoszący majorowę i jej zgryzoty, znikł na zakręcie ulicy, zbliżył się do mnie mój furman i z pewnem zakłopotaniem właściwem tej klasie ludzi, rzekł:

— Poraby już i nam się ruchać do domu, proszę łaski pana!.

— Zajeżdżaj!.. zawołałem tak kontent, jak piewien młody student, który po wielokrotnych bezskutecznych usiłowaniach zdał przypadkiem egzamin.

W numerze czekał na mnie gospodarz w asystencji jakiegoś starozakonnego; drgnąłem ujrawszy tych ludzi, bez względu na to, że obaj starali się mieć fizjognomje bardzo uczciwych.

— A czego chcesz panie starozakonny? spytałem żydka.

— To jest właśnie Joel, brat tego... odpowiedział gospodarz, kłaniając się z przerażającą uprzejmością.

Moje smutne przeczucia zaczęły nagle wzrastać.

— Aha — dobrzel!.. odparłem takim tonem jak człowiek, który dostawszy silnego zawrotu głowy, poczyną już myśleć o tyfusie. Po cóż przyszedł ten starozakonny?

— Jaśnie pan obiecał się ze mną pogodzić... objaśnił żydek.

— Nie znam cię mój przyjacielu,—odpowiedziałem serjo. Jeżeli pan Markierowicz obiecał ci coś..

— Tak jest, obiecałem mu,—odrzekł gospodarz ponieważ pan pułkownik przyjął na siebie załagodzenie sprawy.

— Jakto? co to?.. co pan mówisz?..

— Pan pułkownik, w obec pani majorowej, jej wnuka, mnie i numerowego, obiecał temu żydkowi dać tysiąc złotych. Przypomniał Markierowicz z najpoważniejszą miną.

— Czyście powarjowali!... krzyknąłem oburzony. Alboż taka głupia sprawa warta jest tysiąc złotych?

— Bez urazy jaśnie pana,—odparł żydek,—ale zdaje mi się że musi być warta, kiedy państwo sami chcieli nam dać 20 rubli...

— Nieszczęście się stało, panie pułkowniku dobrodzieju,—dodał gospodarz. Zrobiliśmy głupstwo zaczepiając Joela, bo inaczej sprawa by przyschła, a tak... och Maryja!...

— A wy szachraje! zawołałem, — więc myślicie, że wam zapłacę choć jeden grosz więcej nad obiecane 20 rubli?

— Wolna wola jaśnie pana! Jaśnie pan zapłaci to dobrze, a nie zapłaci, to ja jaśnie pani proces wytoczę,—odpowiedział Joel.

— Co tam twój proces! zgromił go Markierowicz, a potem szepnął mi do ucha. Ja myślę proszę pana

pułkownika, że byle się tylko pani majorowa nie dowiedziała o naszym figlu, to z resztą wszystko bagatela... Och Maryja...

Spotniałem jak mysz, wysłuchawszy ostatniego argumentu. Masz stary niedołęgo! pomyślałem, masz naśladowanie Bismarka.... Teraz albo płac, albo za parę tygodni nazwą cię intrygantem!..

W kwadrans potem, sprzymierzeńcy moi, panowie: oberżysta Markierowicz i Joel faktor, opuścili numer unosząc z sobą weksel na tysiąc złotych!..

O majorowo, majorowo!.. I jakież złe wiatry przyniosły cię do mojego domu?.. Opuściłem gospodarstwo w czasie najważniejszym, straciłem tysiąc złotych, nairytowałem się i jeszcze mi sumienie dokuca, — a wszystko przez ciebie!..

— Konie jaśnie pana są gotowe, zameldował w tej chwili numerowy.

Łatwo pojąć z jak ponuremi myślami siadałem do bryczki i z jaką wściekłością po raz ostatni spojrziałem na hotelowy korytarz, na progu którego nagle ukazał się zapomniany już przezemnie, pomimo całej jego wielkości, znakomity socyjolog Postępowicz z węzełkiem w ręku.

— A cóż panie, — spytałem, — jedziemy?..

— Alea jacta est! mruknął szczupły literat i rzuciwszy swój węzełek pod koziół jednym skokiem dostał się na siedzenie.

W milczeniu przejechaliśmy miasteczko i roгатkę, w milczeniu wyminęliśmy prochownią i plac ćwiczeń

kawaleryjskich; dopiero widok otwartego nieba, pól i lasów rozweselił nas trochę. Uczony Hijacynt począł gwizdać, ja zaś uczulem gwałtowną chętkę do rozmowy.

— Ciekawy jestem, co też będzie od dziś za tydzień? spytałem, robiąc tym sposobem delikatną aluzję do pobytu genialnego pedagoga w moim domu.

— Będzie zapewne piątek! odparł lakonicznie młodzieniec.

— Zawsze jednak czeka pana praca dość ciężka,—ciągnąłem myśląc o socjologicznych badaniach, które wykształcony Postępowicz miał dokonywać na folwarku. Każda praca jest ciężka, — mruknął właściciel ponszy bez rękawów.

Z pół godziny potem jechaliśmy w milczeniu.

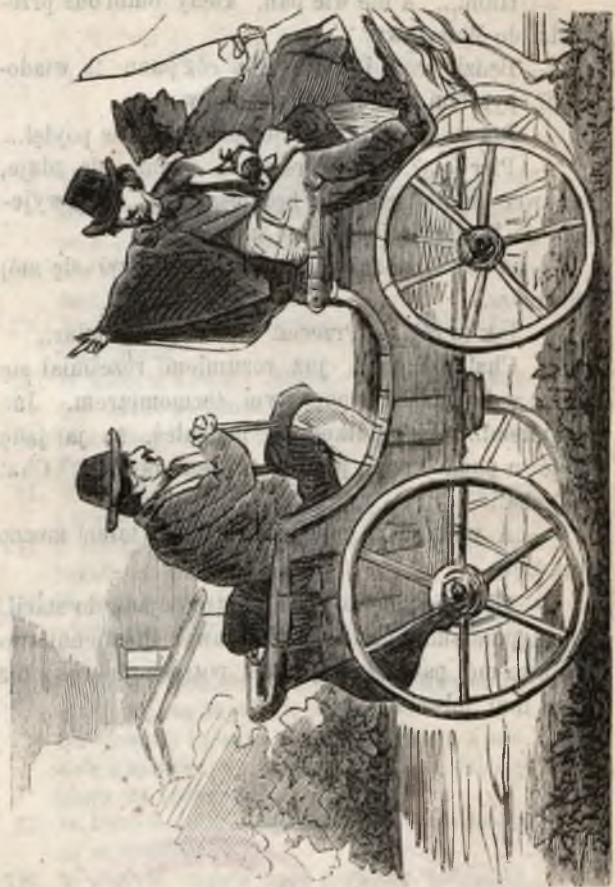
— Przyznasz pan jednak,—zacząłem znowu, że w dzisiejszych czasach gospodarstwo jest bardzo trudną sztuką.

— Dla obywateli ziemskich wszystko jest trudne!—odpowiedział, tonem niedopuszczającym dalszej dyskusji, były literat.

Tym razem ja już postanowiłem nie zaczynać rozmowy,—po upływie jednak małej godziny wyręczył mnie Postępowicz, zapytując:

— Jak daleko od pana do stacji pocztowej?

— Dwie mile drogi, ale pisma odbieramy trzy razy na tydzień,—odrzekłem, myśląc że kochającemu naukę Hijacyntowi mogą się niepodobać tak rzadkie stosunki z cywilizacją.



... Piśmiennictwo krajowe mój panie więcej dziś potrzebuje rąk, niż jakis tam folwarki... (str. 190)

— Hum!... A nie wie pan, kiedy omnibus przechodzi do Warszawy?

— Będzie szedł i jutro. Na cóż panu ta wiadomość? spytałem trochę zaniepokojony.

— Jak to na co?... Przecież piechotą nie pójdę!...

— Piechotą?... do Warszawy?... Mnie się zdaje, że nawet omnibusem nie będziesz pan mógł wyjechać do Warszawy, chyba po żniwach...

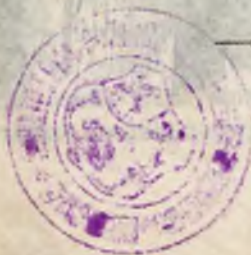
— A cóż mnie żniwa obchodzą? obruszył się mój towarzysz.

— Jak to co?... Przecież miałeś pan zamiar...

— Cha! cha! cha!.. już rozumiem! roześmiał się literat w kapeluszu z popsutym termometrem. Już rozumiem!.. Więc pułkownik myślałeś, że ja jadę objąć u pana urząd pisarza prowentowego?... Cha! cha! cha!..

— A więc gdzie pan jedzie-z? zapytałem mocno dotknięty.

— Obecnie jadę do pana, jutro pojedę do stacji, a następnie omnibusem do Warszawy. Piśmiennictwo krajowe mój panie więcej dziś potrzebuje rąk, niż jakiś tam folwark!..



SPIS ROZDZIAŁÓW.

	str.
I. W którym czytelnik nie mogąc zaznajomić się z Pawełkiem, trafia na wątek interesujących przygód Babuni	1
II. Obejmujący dzieje młodości Soterka i dalszy ciąg kłopotów Babuni	18
III. Rzucający trochę światła na Soterka i jego nauczyciela	29
IV. W którym kłopoty Babuni sprowadzają bardzo ważne powikłania	38
V. Okazujący gdzie podówczas był i co robił Postępowicz	46
VI. W którym mówi się o podróży do miasta i o rzeczach mających z nią związek	54
VII. Z którego domyślićby się można przyczyny szkolnych niepowodzeń Socia	65
VIII. Okazujący w jaki sposób Socio obudził, a niewidzialny przyjaciel ciężko zirytował Babunię	86
IX. Z którego pokazuje się, jak szkodliwymi dla cywilizacji są krytycy i wydawcy	93
X. Na zasadzie którego zwątpićby można o włosach majorowej i o wartości systemu dziesiętnego dla pedagogiki	104
XI. W którym autor i czytelnik doskonale bawią się za drzwiami	118
XII. W którym znowu ogół miłujące jednostki, odbywają pracowite posiedzenie, na intencją osieroconego Soterka	126

- XIII. W którym opowiadający niniejszą historją, nie ma zamiaru ani uwłaczać prawości oficyalistów, ani dyskredytować lojalności prawników 138
- XIV. W którym znajduje się najzupełniejsza rehabilitacja socjologów warszawskich 158
- XV. W którym jest mowa o lekarzach, o lekarstwach, a nawet o rzeczach mających związek z psychologją 169
- XVII. Okazujący jakim sposobem w walkach dyplomatycznych, jedni sieją, a drudzy zbierają . . 180







Biblioteka im. Hieronima
Łopacińskiego w Lublinie

f

324 108

1000072756

